ROK I Nr. 8. 17 marca 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Notarjalnie stwierdzony nakład
30.000 egzemplarzy

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



(do opowiadania na str. 11-ej)

Fot. „Petef"

Prezydent Hoover orędownikiem pokoju

„Pokój stanie się zdobyczą realną tylko przez powstrzymanie się narodów od występowania zbrojnego i przez czynne współdziałanie narodów ze sobą w duchu przyjaznym.
(Prezydent Herbert Hoover)

...w przemówieniu prezydenta Stanów Zjednoczonych, jakkolwiek wypowiedzianem innym językiem, jeśli mogę się tak wyrazić, nie znalazłem różnic zasadniczych w poglądach naszych na pakt Kelloga, który uważam za czynnik usuwający przeszkody na drodze do współdziałania międzynarodowego przeciwko wojnie. Pakt wzmacnia to współdziałanie, w rzeczy samej, gdyż rozszerza je na wiele narodów — uważam wszakże, że nawet tego rodzaju udział zbiorowy nie stanowi bezwzględnego zabezpieczenia przeciwko wojnie.
...Dla dzieła pokoju przyczynić się można przez uznanie wzajemne naszych zdolności obrony pokoju przez ograniczenia zbrojeń oraz przez powołanie do życia właściwego aparatu pokojowego rozstrzygania sporów".
(Sir Austen Chamberlain).

Trwały pokój będzie osiągnięty jedynie wtedy, gdy wszystkie narody na świecie podadzą sobie dłonie i społem zabiorą się do stałej i uzgodnionej współpracy.
(Rajmund Poincaré).

Stany Zjednoczone wchodzą w nowy okres życia politycznego.

Jak wiadomo powszechnie, Prezydent Herbert Hoover objął przed paroma dniami urzędowanie, wprowadzając swych mężów zaufania do rządu. W dniu tym Prezydent, stojąc przed wyniosłym frontonem Kapitolu w Waszyngtonie złożył publicznie przysięgę i wygłosił programową mowę. Kilkuset tysięczny tłum, głowa przy głowie, zalegał plac, cisnąc się zwartą ciżbą ku trybunie mówcy, byleby nie stracić jednego słowa z jego oświadczenia.

Polityczne „credo" Hoovera, lubo niejednokrotnie wypowiadane podczas okresu wyborczego—niezmordowanego przelicytowywania się o hasła i zapowiedzi z tak groźnym przeciwnikiem, jakim był gubernator Smith — wywołało powszechne zainteresowanie.

Prezydent Hoover przemawia.. Znakomity elekt nie posiada zdolności oratorskich — słowa jego płyną powolnie i jednostajnie, postać cała zdradza zmieszanie. Nie słychać żadnych szumnych frazesów, treść jednak, sucha i zwarta, łatwo trafia do przekonania zwłaszcza, że



Fot. Atlantic.
Stimson, były minister sprawiedliwości w gabinecie Tafta; ostatnio gubernator Filipin, został mianowany Sekretarzem Stanu do spraw zagranicznych w gabinecie Hoovera.

wszyscy znają niezależność jego poglądów i wierzą w szczerość intencyj, którą wykazywał w ciągu długich lat owocnej swej pracy dla społeczeństwa i narodu.

Głęboko skupieni, obecni uważnie słuchają przemówienia, a głos prezydenta niesiony na falach eteru, roznosi się na cały obszar stanów, przenikając do drapaczów chmur i rozkosznych pałaców potentatów finansów, handlu i przemysłu — i do najskromniejszych domostw robotniczych.

Prezydent zaznacza ze szczególną mocą główne wytyczne programu polityki zagranicznej, w którym, jak można się było spodziewać, przebija nastrój pokojowy, zgodny z sensacyjnem wystąpieniem senatora Kanzasu — Caapera.

Sprawa tego ciekawego projektu wymaga bliższego omówienia. Chodzi tu bowiem o ostateczne zapewnienie trwałego pokoju.

Senator Caaper, występując przed kilkoma dniami w senacie Stanów, oświadczył publicznie, iż pragnąc uzupełnić pakt Kelloga, który szczęśliwie zyskał na całym świecie zwolenników, wnosi o uchwalenie ścisłego bojkotu gospodarczego i moralnego przeciw państwu, któreby na wypadek konfliktu zbrojnego udzieliło pomocy w zaopatrzeniu stronie uznanej za winną wywołania zatargu.

Projekt senatora Caapera, wnoszony był przed dwoma laty na wokandę, lecz wówczas jeszcze istniejące prądy polityczne nie dopuściły do zrealizowania tej ważnej uchwały. Czasy się zmieniły. Stany Zjednoczone, w osobie swych delegatów na kongresy europejskie, wyraźnie zaznaczyły rolę, którą pragną odegrać w polityce światowej. Powodzenie paktu Kelloga jest wybitnym dowodem uznania, które wszystkie narody oddały myśli i intencjom amerykańskim. Projekt Caapera, będący uzupełnieniem pomnikowego dzieła Kelloga, zdobywa sobie przez to samo prawo obywatelstwa.

Zastanawiając się nad jego szczegółami szybko dochodzimy do przekonania, iż akt ten jest logicznem dopełnieniem paktu Kelloga i z pewnością zdobędzie nie mniejszą popularność. Czyż znajdzie się państwo, które zgóry wiedząc o grożących mu sankcjach, odważy się podać pomoc w sprawie wojny, zaopatrując naród winny naruszenia pokoju w żywność lub amunicję? Zrealizowanie projektu Caapera mogłoby zadać ostateczny cios wojnie, uniemożliwiając ją na wsze czasy. Świat wkroczyłby wreszcie w okres, w którym powszechne rozbrojenie przestałoby być czczem pragnieniem ludów — nieziszczalnym ideałem.

Niesłychanie ciekawym momentem w mowie nowego Prezydenta Stanów Zjednoczonych jest oficjalne potwierdzenie słuszności wniosku Senatora Caapera. Oświadczenie Hoovera staje się poważnem posunięciem o światowem znaczeniu.

Doświadczywszy osobiście, jak wielce pożyteczną może być działalność tego wyjątkowego męża stanu — człowieka o otwartem sercu i niezmordowanej energji — my właśnie, którym tak wielce zależy na pokojowem budowaniu gmachu państwowego — najpierwsi z pewnością przyklaśniemy słowom Hoovera, orędownika pięknych myśli i doświadczonego ich realizatora.



Fot. Wide World.
Walter Brown z Ohio, dotychczasowy zastępca Sekretarza Stanu w Ministerstwie Handlu, został mianowany Sekretarzem Generalnym Poczt w gabinecie Hoovera.



Fot. Wide World.
William Doak z Clevelandu, z zawodu wydawca i dyrektor oficjalnych publikacyj, został mianowany Sekretarzem Generalnym Pracy w gabinecie Hoovera



Najskrytsze Tajniki Polityki Odwetowej Niemiec

Kiedy niedawno Herman Mueller, socjaldemokrata niemiecki i kanclerz Rzeszy, z mównicy parlamentarnej miotał gromy na Polskę, stając w obronie twórców osławionego memorjału ministra Reichswehry, Groenera — przyklaskiwał mu jednomyślnie Reichstag. W nienawiści do Polski łączył się junkier z socjalistą, narodowiec z demokratą, republikanin z monarchistą. Podobnie łączą się w niej wszystkie niemieckie organizacje byłych wojskowych i przysposobienia wojskowego.

Morze atramentu wypisano już w sprawie tych organizacyj—owych „Stalhelmów", „Deutscher-Offiziersbundów", „Jungdeutscher - Ordenów" i wielu innych, mający swój odpowiednik polityczny w „Deutsche Volkspartei" ministra Stresemanna. Czarne na białem udowodniono, że organizacje te, to podziemna armja niemiecka, gotowa w każdej chwili runąć na swych sąsiadów, niosąc ze sobą jeszcze większe okropności wojenne, niż te, po których Europa z trudem leczy swe niezagojone przez lat dziesięć rany.

I zawsze Niemcy, spotykając się z tymi zarzutami, broniły się, że związki te i organizacje to niewinne towarzystwa gimnastyczne, w broń niezaopatrzone, dalekie od celów, które im przeczulona wyobraźnia zaniepokojonych sąsiadów przypisuje. A na dowód przedstawiano każdemu kto chciał, czy nie chciał, pięknie drukowane statuty tych organizacyj, rzeczywiście nie zawierające nic specjalnie podejrzanego.

Memorjał Groenera uchylił jednak nieco zasłonę, okrywającą perfidję tajnych celów wiecznie żywego militaryzmu niemieckiego. Jeszcze nie przycichło echo tego rewelacyjnego odkrycia — gdy dziś oto „7 DNI" jest w stanie podać do wiadomości swych Czytelników *wyjątki z oryginału tajnego statutu niemieckich organizacyj wojskowych i p. w.*, które nawet największych optymistów przekonać powinny, że psyche Niemiec współczesnych jest rodzoną siostrzycą tej, która w pamiętnym roku 1914-ym kazała im rzucić miecz na szalę Historji, w potokach krwi zatapiając trzy-czwarte kontynentu europejskiego.



Podobnie, jak Francja w 1914 r. zerwała maskę z krwiożerczego niemieckiego oblicza, my dziś idziemy za jej przykładem. (Rys. L. Roemackersa).

Oto trzy paragrafy tego *tajnego statutu, nigdzie dotąd nie publikowanego:*

...§ 4. Związek stawia sobie za cel: odbudowę ojczyzny; odbudowę dawnej armji narodowej ; usunięcie hańbiącego pokoju wersalskiego; uwolnienie prowincyj, zrabowanych



„JEGO NAMIESTNIK"
Prezydent Rzeszy, b. Feldmarszałek Hindenburg, wielce oddany „wygnańcy w Doorn", ex-kajzerowi Wilhelmowi II.

przez Włochów, Czechów, Polaków, Francuzów, Belgów i Duńczyków; złączenie Rzeszy z naszem czasowo pokonanem państwem sąsiedniem Austrją; złączenie wszystkich niemieckich braci w jednem, potężnem, wielkiem, niemieckiem państwie; zwrot kolonij niemieckich; wystawienie silnej armji, opartej o cały naród...

§ 5. Do celów, wymienionych w poprzednim paragrafie, należy dążyć z największą energją. Organizacja związku musi się rozciągnąć na wszelkie przez Niemców zamieszkałe tereny...

...Koledzy, którzy mieszkają w obszarach oderwanych muszą być przyciągnięci do współpracy przy urzeczywistnieniu celów związku, ostrożnie, przez specjalne instrukcje....

...§ 7. Ten statut organizacyjno-wojskowy jest ściśle tajny. Dla publiczności i też wobec rządów Rzeszy i państw należy sporządzić osobny statut i ogłosić go w gazecie związkowej. Trzeba się jaknajusilniej o to starać, by przedstawić związek nazewnątrz jako nic nieznaczącą (harmlos) i legalną organizację...

Nadzwyczaj pacyfistyczne cele, nieprawdaż? Same drobiazgi: obalenie „szmaty papieru", traktatu wersalskiego, tego fundamentu pokoju Europy powojennej — odebranie prowincyj rzeczywiście kiedyś „zrabowanych" przez Prusy sąsiadom, a przed dziesięciu laty im restytuowanych — wzmożenie potęgi swej przez wchłonięcie Austrji — i wojna o kolonje dalekie. Jednem słowem — zacięta żądza odwetu i przygotowanie się do nowej wojny na kilku frontach naraz.

A metody? Godne następców Fryderyków Wielkich i Bismarków. „Ostrożne" wciągnięcie do tajnej roboty „kolegów", zamieszkałych w krajach ościenych (a więc i w Polsce). I ten godny opatentowania pomysł dwuch statutów, mający na celu ukryć do czasu prawdziwe oblicze oraz istotne dążenia Niemiec współczesnych.

Po wyjściu z chaosu rewolucji socjalnej i zdławieniu komunistów, rzuciły się one w kierunku wyszkolenia wojskowo całego narodu. Kpiąc w żywe oczy z traktatu wersalskiego, który zezwala na utrzymywanie tylko stutysięcznej armji stałej, Rzesza niemiecka zwróciła się w stronę dziesiątków nowo powstałych organizacyj cywilno-wojskowych, opierając na nich program przysposobienia rezerw.

Niszcząc w miarę możności komunistów, zachowując rezerwę w stosunku do organizacyj republikańskich, które są wykładnikiem wojskowym stronnictwa demokratów, socjalistów i częściowo centrum, otoczyła troskliwą opieką organizacje monarchistyczne, tworząc z nich kadry dla armji stałej, o jakich przed wojną nie śniło się nawet żadnemu niemieckiemu mężowi stanu. Pod płaszczykiem ćwiczeń gimnastycznych i strzeleckich, zjazdów, uroczystości i t. p. odkomenderowani oficerowie i podoficerowie Reichswehry prowadzą intensywną pracę szkolenia wojskowego młodzeży, oraz doszkalania byłych uczestników wojny.

Zatajane w budżetach wszystkich ministerstw sumy na przysposobienie wojskowe umożliwiają zbrojenie się organizacyj, dzięki czemu „Reichswehrministerium" w swoich planach moblizacyjnych bierze pod uwagę zapasy broni i mundurów, będących w posiadaniu obywateli. Maskując się przed komisją kontrolną, armja niemiecka nie uwzględnia pozornie w swoich zbrojeniach zabronionych przez traktat wersalski czołgów, ciężkich dział i samolotów, przerzucając ciężar wyszkolenia w tych broniach na organizacje przysposobienia wojskowego. Modele drewniane czołgów i armat, któremi posługują się te organizacje, mogą być z dniem wybuchu wojny natychmiast zamienione na



Nowa „krzyżowa droga" dzieci, którym zabito ojców na wojnie — oto do czego zmierza odwetowa polityka Niemiec. (Rys. L. Roemackersa).

prawdziwe. Ponadto towarzystwa lotnicze, szkoły pilotów i warsztaty lotnicze zobowiązane są do stałego szkolenia pewnej liczby członków „Stahlhelmu" — zaś marynarka wojenna ćwiczy specjalne oddziały morskie.

Ministerstwo Obrony Krajowej otoczyło szczególną opieką granice wschodnie Rzeszy. Powiaty przylegające do granic Polski opanowane są przez „Jungdeutcheorden", zorganizowany w plutony i kompanje z określonym ściśle planem akcji dywersyjnej, przesłaniającej koncentrację armji niemieckiej w okresie mobilizacji. Zorganizowanie terenu tego pod względem wojskowym zaszło tak daleko, że przyjęcie do pracy robotnika rolnego przez właściciela majątku jest uzależnione od jego należenia do organizacji p. w.

Zaś wielcy przemysłowcy i właściciele ziemscy łożą stale olbrzymie, miljonowe sumy na p. w., zwalniają swoich ludzi od pracy na ćwiczenia wojskowe, wypożyczają organizacjom na ćwiczenia konie i samochody i przechowują broń i amunicję w swoich magazynach.

Agitacja przeciwpolska jest prowadzona tak usilnie, że dwa lata temu w samych powiatach nadgranicznych zbiórka na rzecz organizacyj p. w. przyniosła przeszło 40.000 mk. złotych i 20 wagonów zboża i ziemniaków.

Dokładne prace z zakresu mobilizacji przeprowadzone są poza armją, w organizacjach, przez specjalnie odkomenderowanych oficerów sztabu generalnego. Akta i dokumenty wojskowe, ukryte są przed okiem komisji kontrolnej u zaufanych osób cywilnych t. zw. „Vertrauenleute", oraz w safesach bankowych.

Prócz, wyżej wymienionych organizacyj nacjonalistycznych, organizacje republikańskie, pod wodzą Ludendorfa i von Goltza, zmagazynowały u siebie około 2 miljonów fanatyków wojny odwetowej. Choć stoją oficjalnie na gruncie obrony idei republikańskiej, z chwilą wybuchu wojny, staną w jednym szeregu z monarchistami.

Obecny stan przygotowania do wojny zamyka się cyfrą 100.000 pierwszorzędnie wyszkolonych oficerów i podoficerów w Reichswehrze, oraz około 5 miljonów obywateli, których można powołać pod broń w pierwszym dniu mobilizacji.



Chłopcy, należący do „Marinenjugend Vaterland", słuchają wykładu z dziedziny techniki marynarki.



Członek Parlamentu Niemieckiego Peter Grassmann wygłasza podniecające przemówienie podczas święta organizacji „Reichsbannerów".



Członkowie nacjonalistycznego „Stahlhelmu" niemieckiego, udają się na ćwiczenia wojskowe.

Że imperjalistyczne zapędy Niemiec powojennych sięgają naprawdę bardzo daleko, zdają sobie sprawę nawet niektórzy Niemcy. Niedawno socjalistyczny poseł do Reichstagu, dr. Paul Lewi, w książce swej p. t. *„Werhaftigheit und Social - Demokratie"* oświetlił to zagadnienie z nowej strony, pisząc:

„Niemiecka polityka zagraniczna nie domaga się już powiększenia stanu liczebnego Reichswehry. Pogodziła się ona z istniejącym stanem rzeczy i z *możliwością podniesienia efektownej liczebności wojska bezzwłocznie i bezpośrednio*".

„Ogólne rozbrojenie doprowadza do wzmocnienia potencjonalnej siły Niemiec: im więcej aparat wytwórczości przemysłowej i rolniczej staje się podstawą siły zbrojnej, tembardziej *odzyskują Niemcy swoją dawną przewagę wojskową*, gdyż gospodarstwo niemieckie stoi na drugiem miejscu na świecie, zaraz po amerykańskiem".

„Niemiecka potencjonalna siła wojenna, t. j. niezniszczalny i nie ulegający rozbrojeniu aparat produkcyjny wraz z 65-oma miljonami ludności, *jest silniejszy od każdego mocarstwa europejskiego i niemal od każdej koalicji w ramach prawdopodobieństwa*".

„Wysunięcie przez Niemcy moralnego prawa do żądania rozbrojenia się innych państw, stało się *najsilniejszem narzędziem wojskowo-politycznem Niemiec. Powtarza się widowisko z r. 1809: po klęsce i rozbrojeniu wyciągają Niemcy właśnie z postanowień rozbrojeniowych zasady nowej współczesnej siły zbrojnej. Armja niemiecka jest najlepszą armją zawodową w Europie; połączona z potencjonalnemi możliwościami wojennemi Niemiec. ARMJA NIEMIECKA STANOWI NAJSILNIEJSZY CZYNNIK WOJSKOWY W EUROPIE*".

Zapamiętajmy sobie to cenne wyznanie. I zapamiętajmy tajne cele niemieckich organizacyj wojskowych, których ostrze zwraca się przedewszystkiem przeciw naszej Ojczyźnie. I wysnujmy stąd wnioski realne — godne obywateli wolnych nietylko z imienia. I, wznosząc się ponad marne spory partyjne — twórzmy, ukrzepiajmy nasze Przysposobienie Wojskowe!



W związku z wystąpieniami niektórych ugrupowań politycznych na terenie Sejmu, skierowanych przeciw dotychczasowej administracji finansowej, p. minister Skarbu Gabrjel Czechowicz złożył na ręce Premjera podanie o dymisję.



Podsekretarz Stanu w Ministerstwie Skarbu, dr. Tadeusz Grodyński został mianowany kierownikiem Ministerstwa na miejsce ustępującego ministra Gabrjela Czechowicza. Nominację tę powszechnie uważają za czasową.



Nowomianowany poseł jugosłowiański Broanko Lazarewicz przybył do Warszawy celem objęcia urzędowania. Minister Lazarewicz pełnił dotychczas funkcje posła w Pradze Czeskiej, gdzie żegnano go z powszechnym żalem.



Znakomity filozof niemiecki, i twórca teorji względności, prof. Einstein, obchodził przed paroma dniami 50-letnie swoje urodziny. Dorobek naukowy uczonego obejmuje już kilkanaście tomów wielce ciekawych studjów.



W Meksyku znowu szaleje rewolucja. Prezydent Parter Gil, którego fotografję podajemy powyżej, broni się w Chapultepsco. Lotnicy Stanów Zjednoczonych obserwują, by rebeljanci nie wtargnęli na terytorjum amerykańskie.



Niemałą sensację wywołało niedawno ogłoszenie na łamach prasy rzekomego tajnego układu belgijsko-francuskiego. Jak się okazuje dokument ten był falsyfikatem sporządzonym przez agenta niemieckiego wywiadu Alberta Heinego.

Przeciw prawom natury

Czy spalać zwłoki w krematorjach?

Nowinkarstwo wyznaniowe, kryjące pod pozorami postępu lub niezbędnej reformy dążenie do dokonania przewrotu w umysłach społeczności, opiera się niejednokrotnie na wzorach, zaczerpniętych z najbardziej zamierzchłych czasów historji.

Postępowe — jakby się zdawało — hasła bywają tłomaczone na zasadzie starych argumentów.

Dziwny to zaiste paradoks, rzucający pasmo światła na jedną stronę zagadnienia a tający jednocześnie dalszy jego rozwój naturalny.

Ciekawą sprawą z tej dziedziny myśli jest żywo propagowana w ostatnich czasach kwestja palenia zwłok, która posiada najwięcej zwolenników w kulturalnych Niemczech i w zdziczałej Rosji.

Palenie zwłok, zamiast ich grzebania, ma być ostatnim wyrazem postępu, popioły spreparowane w piecu złożone do urny zastąpić mają trumnę na tradycyjnem cmentarzysku.

Chora myśl ludzka szuka nawet nowych, nigdy niepraktykowanych dróg, jak rozrzucanie żałobnych szczątków z kilkuset metrowej wysokości — z aeroplanu — na ziemię. Dziwny, niczem nie tłomaczący się wybryk, niezwykły i — szczerze to powiedzmy — bezcelowy posiew, przedewszystkiem profanuje przyrodzony majestat śmierci i pamięci o zmarłych.

Palenie zwłok w krematorjach zostało propagowane w nowożytnej historji równolegle z hasłami Wielkiej Rewolucji, występującej przeciwko zasadom Kościoła.

W obecnych czasach — jak wskazaliśmy powyżej — zasada ta jest usilnie podtrzymywana w Niemczech i w Rosji, tworząc w tym celu bojową przeciwkościelną literaturę.

Oto niemiecka „Deutsche Flamme" podaje otwarcie: „Główne zadanie nasze polega na tem, by poruszyć myślących katolików, którzy nie idą ślepo za wskazówkami i poleceniami swych władz kościelnych. Trzeba przyznać, że akcja się udała, ale to nie upoważnia nas do założenia rąk, bo praca nie jest jeszcze ukończona, jesteśmy raczej początkującymi w tej szlachetnej walce".

Kanony kościelne — jeśli chodzi o ścisłość — bynajmniej nie sprzeciwiają się paleniu zwłok. Dogmatycznie sprawa ta nie napotyka na sprzeciwy, lubo z punktu widzenia obrony zasad kościelnych, chroniących wiernych przed niebezpiecznem nowinkarstwem, została surowo potępiona w dekretach kongregacji św. Officium z r. 1886 i 1892.

Kościół znajduje słuszną argumentację w tym względzie w prawie przyrody, wysuwając na czoło swych wywodów naturalne dążenie ludzkości do zachowania i oddawania czci zewnętrznej postaci cielesnej, czego najzwyklejszą emanacją były pomniki nagrobne — pomniki czysto świeckie.



Lotnik rosyjski, czyniąc zadość woli zmarłego, przed odlotem z prochami, które rozrzuci z pod stropów niebieskich. Sposób ten jest niczem w porównaniu z nadaniem prochów drogą pocztową „bez wartości", jak to miało niejednokrotnie miejsce.

Cześć, oddawana zmarłym, ma za sobą odwieczną tradycję, której ślady napotykamy w najbardziej zamierzchłych czasach, datujących się nawet z okresu przedchrześciańskiego poganizmu. Dowodem tego chociażby są ostatnio dokonane odkrycia archeologiczne w Egipcie i w Małej Azji.

Prawo przyrodzone!

Piękne uzasadnienie tego prawa znajdujemy w innem czasopiśmie niemieckiem z roku 1927 — w „Natur und Kultur" — lub w uczonych wywodach Schleicha, zawartych w pomnikowem jego dziele p. t. „Scheltwerk der Gedanken".

Energja ciała — czytamy w tej książce — zaczerpnięta jest z ziemi. Udoskonalenie tej energji zwiemy kulturą. Zwracając ją ziemi zasilimy ją nowemi zapasami żywotności, ogień natomiast, podobnie jak ciepło w stosunku do siły magnetycznej, niszczy „nukleiny" jądra komórek, z których powstaje budowa ciała ludzkiego.

Zwolennicy kremacji, którzy starają się poprzeć swe wywody przykładami starożytności, zapominają, iż sprawa palenia zwłok niejednokrotnie bywała uzależniona od warunków ekonomicznych—ograniczenia osiedli cmentarnych wobec potrzeb rozbudowy miast (dawny Rzym), lub od warunków higjenicznych — wobec szerzących się zaraz. Argumentacja, oparta na doświadczeniach niektórych archeologów, jak Boldettiego i Amoduzziego, którzy twierdzą, iż znaleziono w katakumbach urny z prochami zmarłych — nie jest ścisła, albowiem wiadomo, że naczynia te służyły przeważnie dla celów zdobniczych.

Inni znów twierdzą, iż kremacja, pomijając różne względy natury rozumowej, jest bardziej estetyczna. Podobne argumentowanie jest również mylne, albowiem palenie zwłok wzbudza w najlepiej urządzonych zakładach upiorne zgoła wrażenie. Nie mówiąc o słynnem krematorjum moskiewskiem, w którem przez dłuższy czas niepodobna było osiągnąć należytej temperatury i zwłoki ulegały powolnemu smażeniu, świadkowie kremacji popadali niejednokrotnie w stan nerwowej histerji na widok przewracających się w niesamowity sposób oczu zmarłego i drgawek i skurczów jego członków.

„Nowinki"... A wszystko w imię walki z tradycyjnym i pięknym obrządkiem kultu dla zmarłych.



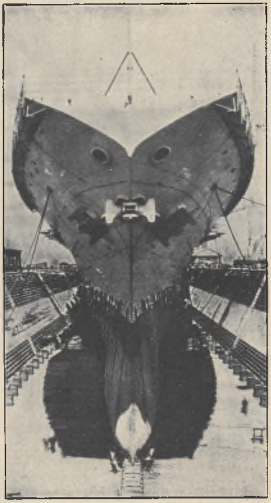
Fragment wewnętrzny krematorjum moskiewskiego, w którem niepodobna było osiągnąć należytej temperatury i zwłoki ulegały powolnemu smażeniu. Potworny ten proceder ma być „ostatnim wyrazem postępu".



Ogólny widok krematorjum, wybudowanego z wielkim nakładem pieniężnym w Moskwie. Wybudowanie podobnych zakładów, pociąga za sobą 6 razy większe koszty, niż koszty zakupna ziemi cmentarnej.



700 drobnych rolników polskich, odznaczonych dnia 10-go b. m. przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Krzyżami Zasługi za prace nad podniesieniem rolnictwa, złożyło wieniec na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie. (Fot. Aj. Światowid).



Nawet doskonali inżynierowie amerykańscy popełniają czasami kosztowne omyłki. Fot. nasza przedstawia kadłub olbrzymiego okrętu marynarki St. Zjedn., który, nim opuścił swój dok, został uznany za nieodpowiadający ostatnim wymogom techniki, wobec czego będzie rozebrany. (Fot. Wide World).



W celu zabezpieczenia filarów mostu Ks. Poniatowskiego w Warszawie, przerąbano obok nich niezwykle w tym roku grubą krę. (Photo Plat.).



Wytworny „Packard", groźne „Mauzery", mające bronić życia wschodniego władcy — oto jak jeździ generał Sziang-Kai-Szek, nowy prezydent Republiki chińskiej. Należy dodać, że stale zamieszkując w maleńkiej mieścinie Ningpo, której ulice przystosowane są do ruchu t. zw. „riksza" (wózki ciągnione przez ludzi) prezydent polecił zburzyć szereg domostw, by móc swobodnie przejeżdżać swoim wozem.



Pierwsze próby lotnicze w Polsce



Okres nieśmiałych prób opanowania przestworzy, kiedy notowano jako rekordy podróże balonem na łasce wiatrów, a w dziedzinie aparatów cięższych od powietrza kilkominutowe wzloty, datuje zaledwie od pierwszego dziesiątka b. stulecia. Jak dalece interesowano się ciekawem tem zagadnieniem — dowodzi niniejszy artykuł przenoszący Czytelnika do okresu upadku Polski i zmagań o Niepodległość.

Myśl o opanowaniu przestworzy od wieków już kiełkowała w mózgach żądnej postępu ludzkości. Studjowano lot ptaka, by zbudować coś w rodzaju dotąd jeszcze niezrealizowanego typu „helikopteru". Już genjalny Leonardo da Vinci poważnie interesował się temi studjami, czego dowodem pozostawione przez niego ciekawe szkice i wykresy.

Rezultatu pierwszych doświadczeń lotniczych z balonami, dokonanych w końcu XVIII stulecia, z napięciem oczekiwała cała Europa. Pomimo ciężkich lat, które nadeszły dla naszej Ojczyzny, z zainteresowaniem śledzono i u nas tę sprawę.

Stanisław August polecił nawet zdawać sobie najbardziej szczegółowe relacje o postępach aeronautyki, która, jak wyraził się w jednym ze swych listów, „służyć ma naywięcey do Żeglugi i dla dawania znaków prętszych y łatwieyszych flotom".

Informatorem królewskim w tych sprawach był poseł krakowski, a później rektor uniwersytetu, Feliks Oraczewski, który często wyjeżdżał zagranicę dla studjów.

Oraczewski przebywał właśnie w Paryżu, gdy dokonywano tam pierwszych prób przy udziale wynalazców — rywali Mongolfier'a i Charles'a.

W kilka dni po tych próbach Oraczewski zdaje o nic' dokładną relację królowi, choć sceptyczne mógł tylko wnioski wyciągnąć, rezultaty bowiem dalece różniły się od szumnych zapowiedzi: miast ulecieć, jak mówiono, 2000 mil, aerostat spadł po 3 kwadransach ...o 3 mile od Paryża.

„Naypewnieysza — zauważa ironicznie Oraczewski — ta podobno korzyść dla krayu, że nas może z pięćkroć sto tysięcy zmokło do nitki y każdy będzie potrzebował zbogacić fabryki i rzemieślników, nadgradzayących sobie tę szkodę w garderobach".

W innym znów liście donosi Oraczewski, iż fizyk de Rosier „poyechał prosić o pozwolenie łamania karku do Wersalu", pragnąc sam wznieść się na „machine aerostatique". Tu notuje Oraczewski, że szał ogarnął cały Paryż, każdy chce karku nadstawić: „Wiersze iusz wielbią ten wynalazek. Komety z bombami iusz widać na pustych głowach; boię się, żeby podobieństwo lekkomyślności ludzi do bomby wiatrem nadętey nie ochydziło ich śmiechem powszechnym".

A ryzykowny był to eksperyment, boć przecież podpalenie słomy i wełny pod balonem, nie należało do przyjemności dla śmiałków, przyczepionych pod spodem, wędząc ich nadomiar w gryzącym dymie.

Niebezpieczeństwo to wesoło opisuje Oraczewski, mówiąc, iż „maszyna tę ma nieprzyzwoitość, że potrzebując ustawicznego płomienia mogłaby się spalić i dwóch ludzi siedzących w koszach w ustawicznem trzyma zatrudnieniu zwiększania lub zmnieyszania ognia".

Wynalazek ten został przecież wkrótce udoskonalony przez „physycien amateur" Charles'a, który dzięki pomysłowi chemika Sage'a zastosował mieszaninę gazu chemicznego.

Na takiej to maszynie, u której „coś na kształt powozu lub bardziey sani z siedzeniem na przodzie y na tyle" zwieszało się, wzleciał Charles w przestworza, „ubiegł więcey iak 2 mile i spuścił się w 35 minut w zupełney przytomności y bez naymnieyszego uszkodzenia maszyny y w oczach osób ciekawych, którzy go konno gonili".

Wkrótce potem zaprodukował się niejaki Blanchard, który w kilka lat potem miał lecieć w Warszawie. Na konstrukcję jego maszyny składały się „4 skrzydła maiące kształt chrabąszczowych, koło 4 stóp długości, na półtory stopy szerokości zrobione z kitayki gumowey, wewnątrz wypukłe, sznorkami cienkiemi gęsto przeszyte, które sznorki pociągnięciem lub rozwolnieniem zawdziane na kołowroty koło łodzi czyli bardziey wanny miały kierować w tem według woli powietrznego Żeglarza; nad wanną wielki kitaykowy parasol miał być od naglego spadku obroną; z tyłu wanny coś nakształt żagla małego".

Rzecz prosta, iż niezbyt udatny był eksperyment na tym szczególnym aparacie. Blanchard spadł, skrzydła połamał i dotkliwie się poturbował.

W Warszawie tymczasem król zarządza pierwsze próby wzlotów.

W marcu 1784 puszczono w naszej stolicy 2 pierwsze balony, co król w następujący sposób opisuje Oraczewskiemu:

„Lubo zrazu oporem szły próby nasze względem balonów, udały się potym bardzo dobrze, gdyż jeden puszczony z Krakowskiego Przedmieścia zaleciał o 23 mile, a drugi puszczony z pośród Wisły na on czas ieszcze zamarzłey, znaleziony iest o 3 mile. Pierwszy był wzięty od prostaków, którzy go naprzód uyrzeli na drzewie, za Obraz Cudowny, dr... na krzaku zawieszony, a bliskiey wody tyk... się od jednego chłopa za skórę zwierza iak... a od drugiego za czary wzięty y przeci... niec po przeżegnaniu się przez ... uchwycony y zdyęty; a przez na... będących Xięży poznane dla ... ły się zyskiem. Obydw... zycyą lupin żelaznych ...

Znajdujemy ... 1786 r. chem... się balone... Okuniew... nim sł... kilk... A... d...

sperymentowaniu aeronautyki, szczególnie, iż problemat opanowania przestworzy ściśle łączono z przystosowaniem tej zdobyczy jedynie dla celów wojskowych.

O wiele później dopiero notuje historja nasza wznowienie tych prób w praktycznem ich użyciu, nie wyszły one jednak poza ramy teoretycznej dyskusji.

Było to w 1831 r.

Rada wojenna rozważała wszelkie sprawy, związane z obroną Warszawy. Chodziło o możliwość rozciągnięcia ścisłych obserwacyj nad ruchami wojsk nieprzyjaciela, w razie gdyby podszedł pod mury stolicy.

Szef sztabu generalnego, generał T. Łubieński, wezwał specjalistów, pragnąc dokładnie rozważyć projekt niejakiego Garnerin co do obserwacyj z balonu na uwięzi.

Opinja sztabowców nie zaaprobowała tego projektu, który, nawiasem mówiąc, stosowano już dawniej w armji francuskiej z niemałem powodzeniem.

Wysunięto objekcję, iż „sposób wzniesienia balonu za pomocą lamp ze spirytusu nie zdaje się zapowiadać dobrego skutku, i że p. Garnerin pochlebia sobie więcej, aniżeli projekt obiecywać może".

Ostateczną decyzję oddano cieszącemu się wielką powagą generałowi Kołaczkowskiemu. Ten jednak również sceptycznie wypowiedział się w tym względzie, twierdząc, iż „do puszczenia się balonem nie łatwo amatora znaleźć można, a ktoś, coby się napowietrznej tej żeglugi podjął nieświadomy sztuki wojennej, błędne lub też zupełnie niedostateczne mógłby tylko udzielić wiadomości. Nieprzyjaciel, choćby podstąpił pod stolicę, miałby jednak siły swoje rozłożone o milę i dalej, że w takim przypadku, puszczając się balonem, musiałby używać te... leskopu, coby się uskutecznić nie dało pr... haniu całego czółenka!".

*

Idąc za przykładem ... dążymy do należyte... lotnictwa. Zastęp... notabene odbywal... starzałych typów... życia, wytrwale ... ne miejsce wś...

Myśli o miłości

(Wybrał i przełożył Pejot).

Zawsze kochamy tych, którzy nas podziwiają— lecz niezawsze kochamy tych, których podziwiamy. (La Rochefoucauld).

*

Tylko ci umieją kochać, którzy potrafią nienawidzieć. (Krapotkin).

*

Nie kochał ten, kto nie pokochał od pierwszego wejrzenia. (Szekspir).

*

Miłość nie jest miłością, jeśli w parze z nią nie idzie poświęcenie. (Beethoven).

*

Miłość — to walka dumy z nadzieją. (Stendhal).

*

Kobieta kocha, albo nienawidzi. (Publius Syrus).

*

Im mniej kochamy kobietę, tem więcej podobamy się jej (Puszkin).

Postęp i wygoda

(Atlantic — Photo — Co).



„Burovox" — bezsłuchawkowy aparat telefoniczny najnowszego systemu.



Wiedeńczyk Klausner wpadł na pomysł sporządzania ze sztucznego jedwabiu niezwykle trwałych kart do gry.



...czepiany bywa ... y.

Knock — Out w 58 sekund

(Korespondencja własna 7 dni).

Paryż, w marcu 1929 r.

Tłumy osób zalegają salę „Welodromu Zimowego", omawiając z ożywieniem widowisko, którego za kilka chwil będą świadkami. Sensacja niebywała!

Chłopcy roznoszą po sali napoje chłodzące i pomarańcze, nikt jednak nie zwraca na nich uwagi.

— Pladner! Pladner! — wywołują swego ulubieńca.

A inni, widocznie bardziej zażyli miłośnicy zapasów pięściarskich, co oddawna już śledzili za postępami małego Francuza, wykrzykują poufale: — Emile! Tiens bon, Emile, tu l'auras!

Atmosfera z każdą chwilą staje się więcej napięta. Jeszcze parę minut, — a wnet sami widzowie chyba wejdą w szranki.

Nareszcie!

Zapaśnicy wchodzą na ring.

Za zapaśnikami korowód ich świty — arbiter... Niezbędne przygotowania i — gwizdek!

Nie spoglądając prawie na siebie, zbliżają się zapaśnicy ku sobie. Amerykanin Genaro chyżo podskakuje do przeciwnika i stara się go dostać potężnym „swingiem".

Pladner spokojnie wyczekuje, zręcznie unika ciosu i błyskawicznie przechodzi do akcji. Rzuca się niemal w objęcia Genaro, wytrzymuje dwa uderzenia w lewą szczękę — sam bije w brodę, odskakuje i w mgnieniu oka zadaje straszny cios w odsłonięty brzuch Amerykanina. Genaro kurczy się, chwieje i wnet otrzymuje drugi potężny cios, tym razem pod serce.

Mistrz świata leży na ziemi. Stara się unieść na łokciach, odwraca się nawet...

Arbiter liczy głośno...

Pladner wyczekuje, spokojny. Cisza zalega salę... Piętnaście tysięcy osób wpatruje się w ring. Wstanie, nie wstanie?

Mistrz świata, Genaro twarzą pada na dywan...

— Dziesięć!

Wnet chwyta sędzia za głośnik i ogłasza zwycięscę:

— Pladner Emile!

Sala wyje z radości, przekrzykując się nawzajem, zda się, że za chwilę wybuchnie na widowni ogólna bójka, byleby lepiej jeszcze, siłą pięści, móc zamanifestować triumf Francji.



Fot. Wide World

...osiem — dziewięć — dziesięć — Sekundy mijają, jedna za drugą. Były mistrz świata Genaro leży bezwładnie na dywanie. Nad nim — zwycięsca, Emile Pladner, ulubieniec francuskich miłośników pięściarstwa

Wszyscy się cisną ku ringowi, na którym najbliżsi przyjaciele trzymają Pladnera na rękach, wznosząc entuzjastyczne okrzyki.

P i ę ć d z i e s i ą t o s i e m s e k u n d.

Tyle tylko trwała walka, jedna z najbardziej efektownych, jakie się odbyły na ringach światowych.

Pladner zostaje mistrzem świata lekkiej wagi, zdobywając zaszczytne miejsce po swoich poprzednikach Routisie — zwycięscy Canzoneri, Carpentier'ze i Criqui.

Nie pierwszy to sukces małego zapaśnika: ulegli mu już Hill, Jarvis, Schwartz, Billy James, Tassin, Silli i Luigi Cecchi.

Oto rezultat tej krótkiej, lecz szybkiej karjery, zapoczątkowanej w Sztokholmie w roku 1925-tym.

Sukces materjalny? 200.000 franków — nagroda zwycięscy, mniejsza zresztą od zysku osiągniętego przez Genaro, który otrzymał 350 tysięcy franków i pełny zwrot kosztów.

Tłumy się rozchodzą, z ożywieniem dzieląc się wrażeniami.

A organizatorzy tego ciekawego spotkania... obliczają wpływy kasowe, wynoszące pokaźną sumę 1.200.000 franków.

Nieźle!

R-y.



Fot. Wide World

...Emila Pladnera, wznoszą do góry małego ...rez tłumy publiczności

Wykopaliska pompejańskie

Pięć godzin drogi od Neapolu pośród smukłych pinij i smutnych gajów cyprysowych leżą ruiny najbogatszego kiedyś i jednego z najpiękniejszych miast Kampanji — Pompeja.

Trzęsienie ziemi w r. 63 przed Chrystusem zburzyło połowę domów Pompei, która jednak szybko powróciła do pierwotnego rozkwitu.

W r. 79 po Chrystusie nastąpił największy bodaj w dziejach świata wybuch Wezuwjusza. Pod popiołem i gorejącą lawą legły w gruzach najdumniejsze miasta Kampanji: Pompeja i Herkulamin. Legły, żeby się już nie odrodzić.

W gruzy zamieniły się przepiękne zabytki architektury rzymskiej. Rozsypały się posągi i płaskorzeźby, nie mające równych sobie nawet w artystycznej Helladzie.

W r. 1748 podjęte zostały rozkopywania Pompei. Za rządów Murata wstrzymane, odnowione były i prowadzone energicznie od roku 1860. Odradzająca się Sabudja pragnęła mieć podnietę do dalszych zwycięstw, podziwiając kulturę starorzymską.

Wykopaliska pompejańskie rzuciły moc światła na archeologję. Ukazały cały przepych bogatych ozdób i dzieł sztuki: architektonicznej, malarskiej i plastycznej.

Ze wszystkiego, co się przechowało, najoryginalniejsze są płaskorzeźby, jakiemi przyozdabiano świątynie, kolumny, łuki triumfalne, grobowce i sarkofagi. Wyobrażają one z dokładną ścisłością rzeczywiste zdarzenia, pochody, ofiary, walki, obrzędy religijne, uczty, co nas poucza o rodzaju życia starożytnych.

Archeologom udało się odtworzyć całe gmachy, jakie istniały w Pompei. Odbudowano, według wzorów szereg świątyń, termy (łaźnie), mosty i wodociągi, o istnieniu których nawet nie wiedzieliśmy.

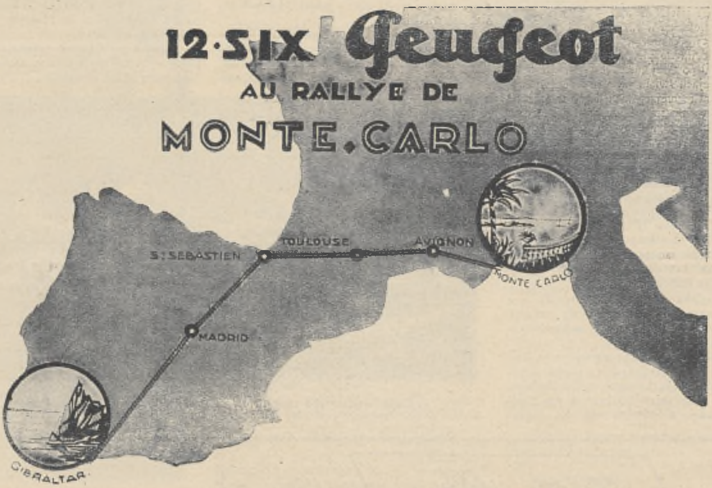
Zdumiewające są wykopaliska... ludzi. Lawa, płynąca z niesłychaną szybkością, zalała miasto, zanim ktokolwiek miał czas się spostrzec. Wielu mieszkańców zostało na miejscu zmumifikowanych, zalanych lawą w tych pozach, w jakich zastał je płynący żywioł. Odkopano szereg zwierząt domowych i ptaków.

Mussolini, który dla spraw sztuki zawsze zdradzał wyjątkowe zainteresowanie, przyspieszył odkopywanie Pompei. Ważniejsze wykopaliska przewieziono do Neapolu i umieszczono je w pałacu Scudi.

Inna część zbiorów pozostała w Pompei, gdzie wybudowano specjalne muzeum, poświęcone starej sztuce rzymskiej.



Zmumifikowane pod lawą zwłoki dwojga Pompejańczyków. Przy każdem poruszeniu, słychać wewnątrz chrobot kości o skamieniałe ciała...



ZJAZD
GWIAŻDZISTY

POPRZEZ GIBRALTAR DO MONTE-CARLO, ZA KTÓRY SAMOCHÓD „PEUGEOT" OTRZYMAŁ

1szą

NAGRODĘ

NAJLEPIEJ ŚWIADCZY O DOSKONAŁOŚCI I WYTRWAŁOŚCI WOZÓW TEJ MARKI

„POLSKI PEUGEOT"

WARSZAWA, HOŻA 9 TEL. 435-55.



SALON WYSTAWOWY:

AL. JEROZOLIMSKA 35 (róg Marszałkowskiej).

CONAN DOYLE.

W szponach drapieżnika

Dziedzictwo, które mi pozostało po ojcu, było doprawdy nader skąpe, zwłaszcza wobec trybu życia wpojonego mi od niemowlęctwa i konieczności przebywania wśród najbogatszej arystokracji angielskiej. Dziedzictwem mojem — było piękne mieszkanie na Grosvenor Mansions i... nadzieja na otrzymanie spadku po stryju, lordzie Southerton, równie bogatym, jak skąpym starym kawalerze. Położenie moje stawało się coraz trudniejsze, gdyż nadużyłem kredytu u tych, co się przyzwyczaili ratować mego ojca. Straciłem wszelką nadzieję na wybrnięcie z sytuacji.

Jedynym człowiekiem, do którego się jeszcze nie zwróciłem o pożyczkę, był krewniak mój, niejaki Edward King, niedawno przybyły z Brazylji, gdzie dorobił się znaczniejszego majątku. Nie zdążyłem go poznać. Wiedziałem tylko, że zamieszkuje w pięknej posiadłości niedaleko od Londynu. Łatwo sobie można wyobrazić moją radość, kiedy któregoś poranka otrzymałem list od Kinga, w którym zapraszał mnie do siebie. Spakowałem się na prędce i tegoż samego dnia, zgóry uśmiechając się na perspektywę „strzelenia" bogatego kuzyna — udałem się do Greyland Courts.

Niewytłomaczony jakiś zbieg okoliczności zdarzył, że nie zastałem koni na stacji kolejowej. Wynająłem pierwszy lepszy pojazd. Gawędząc po drodze ze starym woźnicą, dowiedziałem się, iż krewniak mój słynie na całą okolicę, jako dobroczyńca miejscowej ludności; że wszyscy go wychwalają pod niebiosa, przypuszczają, iż zechce wykorzystać tę popularność, by kandydować na przyszłych wyborach; że wreszcie, jak każdy człowiek, ma swoje słabostki — które w danym wypadku polegają na hodowaniu przeróżnych zwierząt egzotycznych, począwszy od ptaków, a kończąc na olbrzymim kocie brazylijskim.

Dojechaliśmy do pałacu. Zgrzyt kół na żwirowanym dziedzińcu oznajmił zapewne o mojem przybyciu, gdyż nie zdołałem jeszcze wysiąść z pojazdu, a na progu pojawił się gospodarz domu.

— Witaj, mój drogi ... woła! uprzejmie — witaj! Ogromnie się cieszę, żeś raczył nas odwiedzić...

To mówiąc wprowadził mnie do hallu i przedstawił swojej żonie. Przyznać muszę, że jeśli przyjęcie, którego doznałem od niego było nacechowane serdecznością, to nie mogłem się oprzeć przykremu wrażeniu, gdy po raz pierwszy spojrzałem na Mrs. King. Wysoka, chuda, o śniadej cerze południowej, zmierzyła mnie chłodnym i nieprzystępnym wzrokiem, w którym poznałem wyraźne niezadowolenie z mego przybycia.

Przekonałem się na wstępie, iż woźnica, z którym rozmawiałem po drodze, bynajmniej nie przesadził, opowiadając o menażerji Kinga. W parku, po którym mnie oprowadził, spotkać można było na każdym niemal kroku nieznane okazy podzwrotnikowej fauny. Piękne ptaki, o pysznem upierzeniu, — w obszernych klatkach, stadka kóz brazylijskich — czego tam nie było! Bezsprzecznie jednak najpiękniejszym okazem był ów znakomity kot, rosły jak pantera, o czarnem, połyskliwem futrze. Zwierzę zamieszkiwało w jednej z przybudówek pałacu, w końcu długiego korytarza, zamknięte w klatce o potężnych kratach.

— Jedyny okaz w Europie — pochwalił się King, wskazując na zwierzę. — Potworna bestja! Tubylcy boją się jak ognia tego „kociaka", którego ulubionym specjałem — jest mięso ludzkie. Straszny drapieżnik! To też ja, jeden, mogę doń podchodzić, gdyż zna mnie od czasu, kiedy mi go przyniesiono, jako małą kruszynę.

— Prawda, Tommy! — zawołał przyjaźnie.

To mówiąc otworzył drzwi i wślizgnął się do wnętrza. Drapieżnik podszedł do człowieka i potulnie zaczął się łasić u jego kolan.

— Jazda do klatki — zawołał King, a zwierzę cofnęło się wgłąb.

Kuzyn wyszedł za kraty i chwycił za lewar, umieszczony koło drzwi.

— Zaraz lepiej go zamkniemy — zwrócił się do mnie — a tymczasem służący uprzątnie klatkę spacerową.

Jakoż pociągnął lewar ku sobie i stwierdziłem, że druga krata zasuwa się tuż przy zwierzęciu.

— Zaraz mu dadzą żarcie ... odezwał się King, obrzucając pieczołowitym wzrokiem klatkę. — A my — chodźmy też na obiad.

Drugiem spostrzeżeniem, które uczyniłem po paru dniach, było dziwne zachowanie się Mrs. King. Oto pewnego razu, kiedy zostaliśmy na chwilę we dwoje, zwróciła się do mnie niespodziewanie:

— Najlepszy pociąg do Londynu, odchodzi o 4-ej po południu.

— Przepraszam bardzo — zawołałem zdziwiony — nie rozumiem o co chodzi. Kuzyn naodwrót nalega, bym pozostał jeszcze parę dni. Gdyby więc...

Przerwało mi wejście Kinga. Poznał po naszych minach, że coś musiało zajść.

— Bądź łaskaw nas pozostawić na chwilę — przeprosił mnie grzecznie.

Wyszedłem do parku i mimowoli usłyszałem, że King czynił żonie gwałtowne wymówki. Oddaliłem się dyskretnie wgłąb ogrodu, rozważając, co mam robić. Wtem usłyszałem za sobą przyśpieszone kroki.

— Kazano mi ciebie przeprosić, kuzynie — rzekła Mrs. King, chwytając mnie za rękaw. — Pamiętaj jednak — dodała szeptem — że pożałujesz swojego pobytu.

Nic nie rozumiałem. Stosunki moje z Kingiem stawały się coraz przyjaźniejsze. Zwlekałem z uczynieniem mu propozycji pożyczenia mi pieniędzy, zwłaszcza, że od paru dni zauważyłem, iż



wciąż otrzymuje depesze, któremi się najwidoczniej przejmuje. Czyżby jakieś złe interesy? — myślałem w duchu, czekając z upragnieniem odpowiedniej chwili do szczerej rozmowy. Któregoś wieczora — sam mnie sprowokował.

— Czyżbyś doprawdy był jedynym spadkobiercą lorda Southertona? — zapytał z zaciekawieniem.

Potwierdziłem jego wątpliwość i wnet skorzystałem by opowiedzieć mu o swoich kłopotach.

Następny dzień dłużył mi się niewymownie. King otrzymał parę telegramów, które, jak widziałem, wywarły na nim głębokie wrażenie. Natychmiast po lunchu zamknął się u siebie na całe popołudnie. Nie wiedziałem, co począć ze sobą. Chodziłem po parku, rozmyślając nad swoją dolą. Po kolacji znowu zostałem sam na sam ze swojemi myślami. Na dworze zerwała się straszna burza z wichurą, co bynajmniej nie wpływało na uspokojenie nerwów.

Sprobowaliśmy zagrać w bilard. Partja nie kleiła się. King położył kij na stole.

— Wiesz co, — zaproponował, — możebyśmy poszli zobaczyć, co robi Tommy. Nic go tak nie denerwuje, jak błyskawice i pioruny.

Wyszliśmy z domu. Szybko przebiegliśmy pod murem ku przybudówce. Przed wejściem wisiała latarnia. King zapalił światło. Spostrzegłem odrazu, że pierwsza krata była otwarta. Drapieżnik leżał w mniejszej klatce.

— Wchodź — rzekł King, podając mi latarnię. — Poświeć mi, a ja poszukam misy z mięsem. Tommy musi podjeść. To go uspokoi...

Przeszedłem przez próg. Wtem usłyszałem za sobą trzask zawieranych drzwi. Obejrzałem się z przerażeniem. King chwytał za lewar u wejścia.

— Co to ma znaczyć? — zawołałem.

— Zaraz się przekonasz! — roześmiał się szyderczo, ciągnąc ku sobie lewar.

Schwytałem się kurczowo za kraty, usiłując nie dopuścić ciężarem swego ciała, by drugie drzwi, dzielące mnie od drapieżnika — rozwarły się. Oszalały z przerażenia błagałem Kinga, by mnie zaniechał, czułem jednak, że nie oprę mu się. Jeszcze chwila, — i wnet będzie zapóźno. Jakoż, istotnie, drzwi się rozsuwały, ciągnąc mnie za sobą, aż upadłem z wysiłku na ziemię. Jeszcze chwila, — i zostałem, bezbronny, sam na sam, z drapieżnikiem.

Dzikie zwierzę nie ruszało się z miejsca. Zaskoczone tą nieoczekiwaną sceną, wpatrywało się we mnie jarzącemi ślepiami. Ocknąłem się z osłupienia. Obejrzałem się po klatce — i niemal nie krzyknąłem z radości na widok siatki rozpiętej nad mniejszą klatką tuż pod pułapem. Wdrapałem się jednym susem i usadowiłem plackiem na siatce. Byłem jako tako zabezpieczony — chyba, że i kotu uda się wskoczyć za mną.

Istotnie — spróbował swoich sił — zwinnie podskoczył wgórę, nie licząc się jednak z siatką. Przejechał mnie tylko pazurem po kolanie i opadł na ziemię, przewracając latarkę. Światło zgasło. Czułem się poniekąd bezpieczniejszy. Co będzie jednak, gdy zaświta?

Godziny płynęły jedna za drugą, jak straszny sen upiorny. Wstrętny zapach klatki przyprawiał mnie o zawrót głowy. Członki drętwiały w niewygodnej pozycji, której nie śmiałem zmienić, w obawie, że obudzę czujność zwierzęcia.

Straszna noc! Ale jakże gorzej się poczułem, gdy nad ranem pierwsze promienie światła wpadły do klatki. Zgłodniały Tommy kręcił się niespokojnie przez całą noc, nie mógł mnie jednak dosięgnąć. Spojrzał teraz w górę. Groźny pomruk bestji wstrząsnął mną do głębi. Instynktownie złapałem się za ostrze kraty ... pociągnąłem — poddało się. Ciągnąłem dalej, nie spuszczając wzroku ze zwierzęcia. Przyczajone, szykowało się do ataku. Ciągnąłem desperacko — byleby prędzej zamknąć kratę, byleby zdążyć zsunąć się na ziemię i wskoczyć do wewnątrz mniejszej klatki. Zrzuciłem z siebie marynarkę i zarzuciłem kotu na łeb.

Jedna chwila jeszcze — skoczyłem... Zwierzę runęło ku mnie — lecz zdążyło tylko przejechać mnie pazurem po łydce, raniąc głęboko. Zatrzasnąłem kratę. — Byłem bezpieczny.

Omdlały z bólu i z przerażenia osunąłem się bezwładnie na wstrętną podściółkę kota.

Tommy kilkakrotnie rzucał się ku kracie, rozwścieczony. Wreszcie położył się na ziemi, nie spuszczając ze mnie hypnotyzującego wzroku.

Wtem odezwały się kroki i ukazał się King. Podszedł do klatki i zatrzymał się zdumiony. Przypuszczał, że zginąłem, nigdy jednak, że leżę w kałuży krwi i w poszarpanem ubraniu, bez marynarki za drugą kratą!

— Tommy! — zawołał do zwierzęcia — Hallo! Tommy...

Roztworzył pierwsze drzwi i szybko wszedł do środka, poczem pośpiesznie zatrzasnął za sobą kratę.

Zwierzę odwróciło głowę i groźnie warknęło.

— Tommy! krzyknął na kota, cofając się ku wyjściu. — Kusz!

Przypomniałem sobie, co mi mówił King o zwierzęciu, że zapach ludzkiej krwi przyprawia je o szał.

Zwierzę skupiło się w sobie i szykowało do skoku...

— Baldwin! Ratunku! Baldwin! Ludzie!...

To były ostatnie słowa Kinga. Kot skoczył mu do gardła, powalił, szarpał na kawałki, aż wreszcie przykrył sobą zohydzonego trupa i zabrał się do krwawej uczty.

Nadbiegł Baldwin i stajenni. Oszalałe zwierzę zastrzelono w moich oczach, poczem wyciągnięto mnie z klatki...

*

Długo nie mogłem przyjść do siebie i do dziś dnia jeszcze kuleję. Straszną tą przygodę zawdzięczam, jak się okazało, chorobie lorda Southertona, po którym jeśli nie ja — to jedynie King mógł objąć dziedzictwo. W dzień okrutnego zamachu na moje życie, King, który od służącego starego lorda otrzymywał codziennie depesze o stanie jego zdrowia, dowiedział się o śmierci Southertona. Upozorować wypadek, iż przez ciekawość dostałem się do klatki, mogło być dość łatwe. Los jednak chciał inaczej. Lubo ciężko okupione, otrzymałem jednak lordostwo i majątek. Jestem bogatym człowiekiem.

















Japonja się bawi...

Nie mógłby żyć Japończyk, gdyby nie miał trzech rzeczy: ryżu, kąpieli i... rozrywek. Igrzyska ludowe, odgrywane na ulicy — są zjawiskiem codziennem. Oto widzimy kuglarzy ulicznych, obchodzących sioła i miasta z przedstawieniem kukiełek (fotografja z lewej strony u góry). Nowy Rok obchodzony bywa przy udziale korowodów, wesoło pląsających po ulicach (fotografja z lewej strony u dołu). Przedziwne sztuki czarodziejskie, jak wyciąganie żelaznych pałeczek z nosa, wzbudzają podziw gawiedzi ulicznej (fotografja z prawej strony u góry). Łamańce gimnastyczne (fotografja z prawej strony u dołu), które i my znamy z aren cyrkowych jako specjalność Japończyków, gromadzą tłumy. A wreszcie taniec, który Japończycy, zamiłowani w rytmice i harmonji ruchów lubią ponad wszystko, jest nieodzownym w każdym programie widowiskowym (fotografje środkowe i boczne).



T. E. Lawrence
b. pułk. armji angielskiej
Bunt Arabów

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Pułkownik armji angielskiej T. E. Lawrence udaje się w r. 1916 do Małej Azji, celem stworzenia na tyłach armji tureckiej dywersji zbrojnej ze strony plemion arabskich. W poszukiwaniu przywódcy tego ruchu, ktoryby zdołał posiąść autorytet „Proroka" udaje się do obozu słynnego wodza Fajsala. Pułk. Lawrence zapoznaje się z Fajsalem, bada stosunki, któreby mu dały możność rozwinięcia akcji dywersyjnej i opisuje szczegóły życia obozowego powstańców. W dalszym ciągu opowiadania Czytelnik zapoznaje się z wodzami arabskimi, którzy chętnie uznają autorytet Fajsala, jedynego w ich oczach człowieka, któryby mógł prowadzić zwycięską wojnę o oswobodzenie kraju. Damaszek jest głównym celem kampanji, której plan zaczyna powoli krystalizować się w głowie Lawrenca, zwłaszcza, że jest przekonany o tem, iż kwatera angielska udzieli poważniejszej pomocy. Siły arabskie wyruszają wreszcie na Akabę i odrazu przystępują do akcji bojowej. Pierwsze starcie z nieprzyjacielem przynosi Arabom zwycięstwo. Wkrótce lądują w zatoce Akaby główne siły powstańców wespół z eskadrą lotników angielskich, która niezwłocznie rozpoczyna dalekodystansowe raidy powietrzne w kierunku nieprzyjaciela, wzbudzając szalony popłoch.

Stent, rozpatrzywszy się w pozostałych zapasach benzyny i bomb, zdecydował, że starczy ich jeszcze na jedną imprezę. Wydał wszystkim rozkaz wypatrywania baterji, która zrana narobiła im tyle kłopotu, wyruszyli o popołudniowym żarze. Ładunek, jaki z sobą zabrali, był tak ciężki, że nie mogli się wzbić wysoko i z trudnością przelecieli nad szczytem górskim poza Aba el Lissan. Pofrunęli doliną na wysokości około trzystu stóp. Turcy, zawsze o południu bardzo senni, zostali zaskoczeni najzupełniej niespodziewanie. Rzucono trzydzieści bomb: jedna uciszyła baterję, inne zabiły dziesiątki ludzi i zwierząt, poczem samoloty, pozbywszy się ciężaru, wzbiły się wysoko w górę i pomknęły do El Arisz. Arabowie radowali się niepomiernie, wśród Turków zaś zapanowała ogromna konsternacja. Behjet Pasza kazał ludziom kopać schrony i kiedy aeroplany tureckie zostały naprawione, wyznaczył im nieszkodliwe pozycje w różnych miejscach płaskowzgórza dla ochrony głównych stanowisk.

Niepokoiliśmy Turków od góry raidami powietrznemi i drażnili na ziemi podstępnemi zaczepkami, walcząc w fałszywym kierunku. Nasz trzeci sposób psucia ich ofenzywy polegał na atakowaniu linji kolei żelaznej, która to okoliczność zmuszała ich do rozdzielania zaczepnej siły i przejścia częściowo w defenzywę. Stosownie do tego planu przygotowaliśmy na połowę września cały szereg zamachów.

Zdecydowałem się również powrócić do dawnej myśli podminowania pociągu. Było wskazanem użycie czegoś pewniejszego i potężniejszego od min automatycznych. Wykombinowałem bezpośrednie zapalenie ładunku materjałów wybuchowych pod lokomotywą za pośrednictwem elektryczności. Brytyjscy saperzy zachęcili mnie do zrobienia próby. Szczególniej zaś zainteresował się mojemi, że się tak wyrażę improwizacjami, doświadczony generał Wright, szef saperów w Egipcie. Przysłał mi on potrzebne narzędzia: zapalarkę i trochę izolowanych kabli. Z tem wszystkiem udałem się na pokład Humber naszego nowego okrętu strażniczego i przedstawiłem się dowodzącemu nim kapitanowi Snagge.



Niejednokrotnie musieli nasi Czytelnicy spotykać się w ostatnich czasach na łamach prasy z nazwiskiem autora „Buntu Arabów", Lawrence'a. Dookoła tej ciekawej postaci tworzy się coraz więcej legend, tem skwapliwiej szerzonych, iż istotnie losy Lawrence'a są niezwykle zagadkowe. Lawrence, alias Shaw, podejrzany jest o wzniecenie przewrotu w Afganistanie. Tajemniczo sprowadzony do Londynu ukrywa się przed ciekawymi, nie zdradzając miejsca swego zamieszkania. Komuniści i członkowie „Labour party" wnoszą interpelacje w Parlamencie, pragnąc się dowiedzieć, kto jest sprawcą, groźnych może w następstwa dla Anglji, wypadków w Afganistanie. Zniecierpliwieni niedostatecznemi wyjaśnieniami, palą portret Lawrence'a na ulicach Londynu. Dziwny, tajemniczy człowiek... Wiadomo w każdym razie, iż rzadko kto może pochwalić się takiemi przeżyciami, jak on; że trudno spotkać tak szczególny charakter; że samem zachowaniem się, wywołuje sensację. Lawrence, — pisze Robert Graves, — nie znosi dzieci i psów; nigdy nie jada w towarzystwie; unika podawania ręki i boi się, by nie dotknięto się do niego; ucieka na widok kobiety; nie dba o pieniądze. Winston Churchill określa go dosadniej, jako „rzadkie zwierzę, które nigdy nie podda się żadnej niewoli". Fotografja nasza przedstawia manifestację uliczną przeciw dziwnemu temu bohaterowi.

Snagge miał szczęście do swego okrętu, który był zbudowany dla Brazylji i o wiele wygodniej urządzony niż brytyjskie monitory, my zaś byliśmy podwójnie zadowoleni i z okrętu i z niego, gdyż był on uosobieniem gościnności. Żywe i ciekawe usposobienie skłaniało go do interesowania się sprawami lądowemi, zaś poczucie humoru pozwalało dostrzegać komiczną stronę naszych drobnych porażek. Opowiedzieć mu historję niepowodzenia, znaczyło to samo, co wyśmiać owo niepowodzenie i zawsze za dobrą historję płacił mi gorącą kąpielą i herbatą, przyrządzoną w cywilizowany sposób, bez przyprawy w postaci nawianego piasku. Jego uprzejmość i pomoc oszczędzała nam wyjazdów do Egiptu w celach różnych napraw świeżo powstałych braków i umożliwiała zmaganie się z Turkami, z miesiąca na miesiąc, wśród ciągłych drobnych zawodów i kłopotów.

Zapalarka znajdowała się w straszliwej, zamkniętej na klucz, bardzo ciężkiej skrzyni. Otworzywszy ją, znaleźliśmy wewnątrz elektryczny mechanizm z rączką.

Mieliśmy też ciężki, izolowany zapomocą gumy kabel. Przecięliśmy go na pół i umocowawszy końce do śrubek na skrzynce, puściliśmy przezeń prąd na próbę. Aparat działał doskonale.

Przyniosłem zapalniki. Wetknęliśmy wolne końce kabla w jeden z nich i poruszyli rączkę: bez skutku. Spróbowaliśmy ponownie i znów naprożno. Ogarnęło nas przygnębienie. W końcu Snagge zadzwonił po jednego z oficerów, artylerzystę, który znał się na przewodnikach. Poradził użycie specjalnych zapalników elektrycznych. Na okręcie znajdowało się ich sześć, z których dostałem trzy. Połączyliśmy jeden z naszą skrzynką. Po przyciśnięciu rączki rozległ się obiecujący trzask. Widząc, że wiem już wszystko, czego mi potrzeba, zabrałem się do szczegółowego omówienia raidu.

Z miejsc, jakie mieliśmy do wyboru, najdogodniejszem pod względem komunikacyjnym

wydawała się Mudowwara, stacja wodna leżąca na południe, w odległości 80 mil od Maanu. Rozbicie się pociągu w tem miejscu naraziłoby nieprzyjaciela na wielkie niedogodności.

Owładnięcie zatrzymanym pociągiem wymagało armat i karabinów maszynowych. W tym celu można było użyć moździerzy od rozbijania okopów, oraz karabinów Lewisa. Egipt wyznaczył więc dwóch sprawnych sierżantów-instruktorów ze Szkoły Wojskowej w Zeitun, aby nauczyli kilka oddziałów Arabów w Akabie, jak mają się obchodzić z tą bronią. Snagge dał im kwaterę na okręcie, gdyż, jak dotąd, nie mieliśmy na brzegu wygodnego angielskiego obozu.

Nazywali się Yells i Brook, ale przechrzczono ich na Lewisa i Stokesa, podług ich ukochanej broni. Lewis był długim, cienkim i giętkim Australijczykiem.

Elastyczne jego ciało gięło się w zupełnie niewojskowych ruchach. Jego energiczna twarz, łukowate brwi i rozbójniczy nos podkreślały specyficznie australijski wyraz zuchwałej gotowości i zdolności do uczynienia czegokolwiek w każdej chwili. Stokes przedstawiał typ krępego angielskiego farmera o manierach robotnika i milczącem usposobieniu, zawsze gotowego do spełnienia rozkazu.

Lewis, niezmienie pomysłowy, entuzjazmował się i unosił, ilekroć coś się dobrze udało. Stokes wypowiadał się ze swem zdaniem dopiero po fakcie, kiedy przesuwając z namysłem czapkę, wyliczał mozolnie omyłki, jakich będzie musiał na przyszłość unikać. Obaj nieporównani. W ciągu miesiąca, nie znając języka, bez pośrednictwa tłumacza, doszli do porozumienia ze swymi uczniami. Wyuczyli Arabów obchodzenia się z daną bronią w granicach racjolanej precyzji.

W miarę, jak pracowaliśmy nad organizacją wyprawy, apetyty nasze rosły. Stacja Mudowwara była słabym punktem. Trzystu ludzi mogło ją wziąć szturmem. Byłby to czyn znacznej doniosłości, zważywszy, że jej głęboka studnia była jedyna na suchym odcinku, poniżej Maanu. Komunikacja kolejowa zostałaby wielce utrudniona na tym obszarze z powodu konieczności zaopatrywania się w wodę na długi dystans.

Australijczyk, Lewis, w momencie przypływu ambicji, oznajmił, że on i Stokes chcieliby należeć do mojej partji. Nowa ta myśl przypadła mi bardzo do serca. Z ich obecnością, czuliśmy się pewni naszych oddziałów technicznych w czasie ataku na garnizon. Sierżanci bardzo pragnęli, żebyśmy ich z sobą zabrali i gorliwa ich praca zasługiwała na nagrodę. Ostrzegliśmy ich, że ewentualnie czekające nas przygody mogą się okazać wcale niewesołe. Nasza wojna nieznała żadnych reguł i wewnątrz lądu kwestja marszów, aprowizacji i walk przedstawiała się bardzo niepewnie. W razie udania się na tę wyprawę straciliby wszelkie przysługujące im, jako żołnierzom brytyjskim przywileje i wygody i musieliby dzielić z Arabami trudy i znoje (ale nie łupy). Jeżeliby im się wydarzyło coś niedobrego, oni, jako nie mówiący po arabsku, znaleźliby się w niezmiernie trudnem położeniu. Lewis odpowiedział, że spragniony był właśnie takich niezwykłości w życiu. Stokes zauważył, że jeżeli my to potrafimy, to dlaczegóż on miałby być gorszy?! Wobec tego pożyczyłem im moje dwa najlepsze wielbłądy (torby przy siodłach wyładowali obficie konserwami mięsnemi i sucharami) i siódmego września 1917 r., pojechaliśmy razem przez Wadi Itm do Guwery zabrać Audzie naszych Howeitatów.

Wrzesień był szkaradnym miesiącem. Na parę dni przed pochodem w cieniu palmowych ogrodów na plaży w Akabie, termometr wskazywał 120 stopni. W południe więc nastąpił dłuższy wypoczynek pod skałą, wieczorem zaś zrobiliśmy tylko dziesięć mil drogi, poczem rozbito na noc obóz.

Następnego dnia o wczesnym upale, blisko Guwery w trakcie wolnej jazdy przez piaszczystą, różową, mile kojącą wzrok równinę, porosłą szaro - zielonemi krzakami, usłyszeliśmy nagle monotonny warkot w powietrzu. Bez straty czasu spędziliśmy wielbłądy z otwartego szlaku w zarośla, gdzie nieprawidłowa ich barwa nie mogła być zauważona przez nieprzyjacielskich lotników. Ładunki żelatyny wybuchowej, mojego ulubionego i najpotężniejszego materjału wybuchowego i bogate zapasy napełnionych amonalem granatów armaty Stokesa nie stanowiły zbyt bezpiecznego sąsiedztwa podczas raidu z bombami. Czekaliśmy więc rozważnie w siodłach, zaś nasze wielbłądy ogryzały jak mogły karłowate krzewy. Aeroplan, zatoczywszy dwa koła nad skałą Guwery, cisnął po kolei trzy bomby, które wybuchły z wielkim hukiem.

Miny pod koleją.

Szesnastego września 1917 roku, o świtaniu opuściliśmy Rumm. Ślepy szeryf Aid uparł się, żeby z nami jechać, pomimo utraconego wzroku, mówiąc, że chociaż nie będzie mógł strzelać, to przecież potrafi utrzymać się na wielbłądzie i że jeżeli Bóg będzie nam sprzyjał, to pożegna Feisala, triumfującego i zwycięskiego i powróci do domu względnie szczęśliwie, by przepędzić tam resztę pustego, bezbarwnego życia. Zaal przyprowadził swoich dwudziestu pięciu Nowasera, klan Arabów Audy, którzy nazywali siebie moimi ludźmi i słynęli na całą pustynię ze swych wielbłądów wierzchowych. Moja wściekła jazda pociągnęła ich ku mnie niby magnes.

W przedniej straży jechał na el Dżedzie, najpiękniejszej wielbłądzicy w Arabji Północnej, jej właściciel stary Motlog el Awar. Spoglądaliśmy na wspaniałe zwierzę z dumą, lub zazdrością, stosownie do łączących nas z nim stosunków. Moja Ghazala była wyższa i okazalsza i miała szybszy kłus, ale była za stara, by móc na niej galopować. Jednakowoż była ona jedyną wierzchówką w naszej partji — a nawet na tej pustyni — dającą się porównać z Dżedą. Sprawność jej przyczyniała się do podniesienia ważności mojej osoby.

*

O zmierzchu, ja z Zaalem, z sierżantami i kilkoma ludźmi podkradliśmy się ostrożnie pod pozycje tureckie. W ciągu pół godziny znaleźliśmy się na ostatniej wyniosłości, w miejscu, gdzie Turcy urządzili okopy i zbudowali z kamieni pomysłowy przedni posterunek. Wszystko to w tę ciemną, bezksiężycową noc naszego raidu było opustoszałe i ciche.

Aeroplan był osobliwym regulatorem ogólnego życia w obozie Guwery. Arabowie wstający jak zawsze przed świtaniem, oczekiwali jego zjawienia się. Szeryf Mastur wysyłał niewolnika na szczyt skały, by dawał znać o zbliżaniu się powietrznego nieprzyjaciela. Zawsze, o jednakowej, stałej godzinie, arabowie, pogrążeni w swobodnej pogawędce, podążali niedbałym krokiem ku skale. Znalazłszy się u jej stóp, wdrapywali się po występach i sadowili, gdzie się komu podobało. Za Masturem wdrapywała się na skałę gromada jego niewolników, dźwigając dłań dywan i kawę na fajerce. On i Auda zasiadali w zacienionym kącie i rozmawiali, dopóki uszu ich nie dobiegł śpiew maszyny, przelatującej nad wąwozem Sztaru i wzdłuż gęsto zatłoczonych gzymsów skalnych nie przeleciał dreszcz podniecenia.

Każdy przyciskał się mocno, do skały i czekał cicho, podczas gdy nieprzyjaciel krążył naprożno nad dziwnym widokiem tej purpurowej skały, oblepionej szeregami kolorowo ubranych Arabów, wypełniających niby ibisy, wszystkie jej szczeliny i zagłębienia. Z aeroplanu spadało, stosownie do dnia tygodnia trzy, cztery lub pięć bomb. Ich wybuchy tworzyły na zielonej powierzchni równiny gęste kłęby dymu, podobne do bitej śmietany, wijące się przez całe minuty w nieruchomem, bezwietrznem powietrzu, dopóki nie rozpłynęły się powoli i nie znikły. Chociaż wiedzieliśmy, że nie było w tem nic groźnego, to jednak za każdym razem, gdy głośny warkot motoru w górze przerywał ostry huk zlatującej bomby, doznawaliśmy wstrząsającego wrażenia.

Byliśmy już tak blisko stacji, że mogliśmy przeliczyć nieoświetlone namioty i podsłuchać rozmowę żołnierzy. Jeden z Turków podszedł kilka kroków w naszym kierunku, poczem, zawahawszy się, zapalił zapałkę, przy której świetle ujrzeliśmy bardzo wyraźnie postać młodego oficera o chorowitym wyglądzie i zapadniętej twarzy. Przykucnął na chwilkę celem zapalenia papierosa i powrócił do swych ludzi, który na jego widok spłoszyli się i umilkli.

(C. d. n.).



Joe May, dyrektor niemieckiej wytwórni filmowej „Ufa" dba o hygienę swych artystów. Widzimy go tutaj, jak własnoręcznie szoruje jedną ze swych gwiazd męskich, sympatycznego Gustawa Froelicha.



Paweł Bernis, reżyser amerykańskiej wytwórni filmowej „Paramount", nie lubi tracić cennego czasu. Viola Dana nawet podczas kąpieli musi wysłuchiwać jego rad — a obok czeka cierpliwie operator filmowy.

Pewien bulwarowy dziennik paryski podał kilka dni temu wiadomość, że nasza rodaczka, słynna gwiazda filmowa Pola Negri, zerwała swój kontrakt z jedną z wytwórni francuskich z powodu... braku odpowiednio urządzonej łazienki w atelier tej wytwórni.

Kaprys księżny Mdiwani? Wybryk złego humoru? Nic podobnego! To tylko przyzwyczajenie, które w myśl starorzymskiego przysłowia staje się naszą drugą naturą.

Nieraz czytaliśmy o wspaniałych urządzeniach wielkich wytwórni amerykańskich i podziwialiśmy zdjęcia fotograficzne luksusowych łazienek i basenów kąpielowych, przeznaczonych dla artystów.

Podczas krótkich przerw w męczącej, zdzierającej nerwy pracy, gwiazdy filmowe dzięki zabiegom hydropatycznym odzyskują świeżość ciała i umysłu. Rację więc miała piękna Pola, żądając, aby Paryż poszedł za przykładem Hollywood i zainstalował dla niej łazienkę...

Podobno kierownictwo owej wytwórni francuskiej, nieprzyzwyczajone do takich „dziwactw" jak... czysta woda, wytoczyło naszej rodaczce proces, żądając od niej 200.000 franków odszkodowania.

W nadziei, że Pola wyjdzie zwycięsko z tych hydropatycznych opałów, rozweselmy nasze oczy widokiem jej kolegi i trzech koleżanek, wyprawiających ucieszne harce w wannach i w zwykłej balji do prania...



Artyści wytwórni „Ufa" odtwarzają scenę kąpieli rzymskiej w filmie „Kult ciała".



Wzorem Afrodyty, Fee Malton, gwiazda filmowa, tonie w pianie, lecz nie morskiej, ale... mydlanej.

„Gwiazdy" filmowe w wannie i... balji

O czem marzą piękne panie...

Kamienie drogocenne.



Djament przed szlifowaniem



Rżnięcie djamentu



Djament oszlifowany

Królem pomiędzy wszystkiemi drogocennemi kamieniami jest bezsprzecznie djament. Cnoty jego wychwalano już w starożytności, przypisując mu najróżnorodniejsze pożyteczne właściwości. Sama nazwa jego, zapożyczona z greckiego — od słowa „adamas" (niezniszczalny) daje pojęcie o nieskruszonej sile, a siła wszak wiedzie do wszystkich celów.

Ludzie, noszący kamienie nie tylko gwoli ozdobie, dla próżności i chwały, ale w głębokiej wierze, iż klejnoty tają w sobie moc wróżebną — uważają djament za przydatny w miłości, zbawczy w rzemiośle wojennem, ba, zdolny nawet do zabicia w człowieku żywota jako jad niebezpieczny i groźny.

Djament... mówią o nim Arabowie, Grecy i Rzymianie, Indowie i Persi, mówią o nim bogaci, wzdychają doń biedni, uczeni i magowie— — a nadewszystko marzą o nim kobiety.

Przekonanie o mocy prawdziwej, zaklętej w tym kamieniu, spotykamy nawet wśród wierzeń związanych z religją — oto bowiem w pierwszych wiekach chrześcijaństwa uważano za stosowne przystrajać szaty w djamenty w dzień Wielkiejnocy, jako w święto triumfu siły niebieskiej — Zmartwychwstania Pańskiego. I jeśli nawet sądzono, że noszenie go w poniedziałki lub wtorki jest bezskuteczne, albowiem traci w te dnie owe dodatnie swe właściwości — to jednak w święta uroczyste — Bożego Narodzenia, Zesłania Ducha Świętego i t. p. odzyskuje rzekomo swą siłę.

Za najlepszą porę roku dla noszenia djamentu uważają pierwszą połowę maja (miesiąc miłości) — a wszyscy w tej porze urodzeni nigdy nie powinni z nim się rozstawać.

„Wróżba jego jest niezawodna,
Stara, jak światy stare
Noś go więc, a spijesz do dna
Niebiańską miłości czarę".

(Amulety miłości według wróżb perskich, przekł. R. Kwiatkowskiego).

Noś go... łatwiej to powiedzieć, trudniej jednak spełnić bez... pieniędzy. Cenić go bowiem umieją nietylko magowie — ale i jubilerzy, jakoże nie łatwo go dostać, trudno wyszlifować i trudno nawet zimitować. Jedynym uczonym, któremu udało się dotychczas sztucznie reprodukować djament jest Francuz, Moissan. Użył on w tym celu temperatury około 3.000°, i niezwykle silnego ciśnienia.

Moda dzisiejsza coraz więcej rozpowszechnia sztuczne djamenty — i nawet najwytworniejsze panie nie wstydzą się już dziś nosić imitacji djamentów i innych kamieni drogocennych.

Wielkie i czystej wody brylanty — to łakomy kąsek dla śmiałego złodzieja. Dlatego też zdarza się coraz częściej, że szczęśliwe właścicielki drogocennych klejnotów, ozdobionych brylantami, posiadają dokładne ich kopje, sporządzone ze sztucznych kamieni. Autentyczny klejnot drzemie w bezpiecznym schowku pancernym — a jego imitacja budzi zachwyty i westchnienia zazdrości na balach i przyjęciach publicznych. W ten sposób złodziej podobnego klejnotu dość słusznie może narzekać, że został... okradziony.

Iluż tysięcy zbrodni, oszustw, kłamstw i poniżeń stały się przyczyną brylanty! Więcej wycisnęły łez z oczu i więcej przelały krwi, niż zrodziły uśmiechów wesela...

A jednak, olśniony zimnym połyskiem brylantowych ścianek, w których tak cudnie przełamuje się i odbija światło słoneczne lub elektryczne, człowiek nie przestanie być niewolnikiem tych kamyków, dopóki uczeni alchemicy współcześni nie zasypią świata całemi górami sztucznych brylantów o tej samej kompozycji, co prawdziwe. Być jednak może, że wtedy nasze piękne panie przestaną marzyć o brylantach...

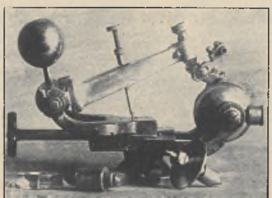
DRUGA WIELKA PREMJA „7 DNI"

W następnym (9-ym) numerze „7 Dni" podane zostaną szczegółowe warunki drugiego wielkiego konkursu, dostępnego dla wszystkich Czytelników. Tym razem Wydawnictwo „7 Dni" przeznaczyło tytułem premji tak pożądany w każdym domu

ODKURZACZ „PROTOS"



Polerowanie djamentu



Przyrząd do szlifowania djamentów



Ręczne szlifowanie djamentu

7 DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK.

17 N Gertrudy.
18 P Gabrj. i Cyryla
19 W Józefa Obl. NMP.
20 Ś Teodozji. Eufem.
21 C Benedykta
22 P Katarzyny
23 S Pelagji m.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońca		Księżyca	
w	z	w	z
6 13	17 54	8 49	0 23
6 11	17 55	9 35	1 41
6 09	17 57	10 34	2 50
6 06	17 58	11 46	3 44
6 04	18 00	13 04	4 26
6 01	18 02	14 24	4 59
5 59	18 03	15 43	5 21

PAMIĘTAĆ NALEŻY: O PODATKACH SKARBOWYCH.

1) Do 15.III wpłata podatk. przem. od obrotu za m. luty przez przeds. I i II kat. i przemysł. I—V kat.

2) Podatek dochod. od uposażeń służb. emeryt. i wynagr. za najemną pracę w ciągu 7 dni, licząc od dnia, w którym dokonano potrącenia podatku.

3) Zaległości z tytułu pod. majątk. oraz podatki, na które płatnicy otrzymali nakazy płatnicze z term. płatn. w m. marcu b. r. tudzież kwoty odroczone i rozłożone na raty w term. płatn. w tymże miesiącu.

O WYDAWANIU II-EJ SERJI KSIĄŻECZEK NA PREMJOWANE WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE.

Z dniem 1-go III. P. K. O. rozpoczęto wydawanie II-ej serji książ. na premje. Wkł. oszczędn. książeczek wydaje kasa centrali P. K. O. oraz wszystkie urzędy pocztowe, gdzie można wpłacać wkładki kwart. wzgl. miesięczne.

O UŁATWIENIACH STWORZONYCH PRZEZ BANK POLSKI DLA KURACJUSZÓW W ZAKOPANEM.

Wszystkie oddziały B. P. załatwiają przekazy polecenia wypłat na zwykłych warunkach dla kuracjuszów w Zakopanem. Kwoty przekazów ograniczone na razie do 1000 zł.

O PODATKACH KOMUNALNYCH.

Pod. od lokali, I rata za r. 1929.
Pod. od zbytku mieszk. I rata za r. 1929.
Pod. i dod. od nieruch. IV rata za r. 1929.
Termin płatności do doliczać się będzie odsetki za zwłokę.

DOKĄD POJŚĆ WARTO?

Do „Narodowego" na jedną ze sztuk, wznawianych obecnie przed najbliższą premjerą; do „Nowego" na „Adwokata i róże"; do „Polskiego" na „Dwuch panów B"; na rewje do „Morskiego Oka" i „Qui-Pro-Quo".

Czego słuchać przez radjo?

Na najbliższy tydzień otrzymaliśmy od kierowników poszczególnych działów „Polskiego Radja" nast. informacje o ciekawszych audycjach, które podajemy poniżej:

Dział muzyczny — prof. T. Czerniawski:

Niedziela, dnia 17 marca. Godz. 15.15. Transmisja koncertu symfonicznego z Filharmonji warszawskiej w wyk. orkiestry pod dyrekcją J. Bojanowskiego, oraz Margerity Trombini-Kazuro (fort.). **Poniedziałek, 18.III,** godz. 19.30. Audycja międzynarodowa. Transmisja z opery wiedeńskiej „Flet zaczarowany" Mozarta. **Wtorek, 19.III,** godz. 17.55. Uroczystość radjowa dla żołnierzy z okazji imienin Marszałka Józefa Piłsudskiego, poprzedzona przemówieniem gen. Wacława Stachiewicza. Godz. 20.15. Transmisja uroczystej akademji ku uczczeniu imienin Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego. **Środa, 20.III,** godz. 20.10. Koncert irlandzki w wykonaniu orkiestry polskiej oraz solistów: Berta Crawford (śpiew), Bolesław Kon (fort.), L. Urstein (akomp.). **Czwartek, 21.III,** godz. 17.55. Koncert kameralny w wykonaniu kwartetu „Polskiego Radja". Słowo wstępne wypowie prof. Piotr Rytel. **Piątek, 22.III,** godz. 20.15. Koncert z Filharmonji warszawskiej, jako solistka wystąpi p. Róża Etkinówna (fort.). **Sobota, 23.III,** godz. 20.30. Operetka Offenbacha „Małżeństwo przy latarni".

Specjalna audycja ludowa literacko-muzyczna nadana zostanie w niedzielę, dnia 17.III o godz. 18.20.

Dział odczytowy — prof. Henryk Mościcki:

Niedziela, 17.III, godz. 17.55. Odczyt p. t. „Boczna antena" wygłosi Bruno Winawer. Godz. 19.20. Odczyt p. t. „Kiedy będzie wiosna" wygł. Dr. Stan. Gumiński. **Poniedziałek, 18.III,** godz. 17.00. Odczyt p. t. „Lotnictwo na usługach społeczeństwa" wygł. mjr. Romeyko. **Środa, 20.III,** godz. 17.00. Odczyt p. t. „Meteorologja a lotnictwo" wygł. prof. Romuald Gumiński. **Piątek, 22.III,** godz. 19.10. Odczyt p. t. „Kuchnia djetetyczna zagranicą i u nas" wygł. p. Marja Morzkowska. **Sobota, 23.III,** godz. 15.10. Odczyt p. t. „Parlamentaryzm polski za Jagiellonów" wygł. prof. H. Paszkiewicz.

Dział literacki — M. Weronicz:

Niedziela, 17.III, godz. 21.00. „Kwadrans literacki" — p. T. Bocheński odczyta nowelę J. Korzeniowskiego (Conrada) p. t. „Laguna". **Środa, 20.III,** godz. 21.35. Literacki występ autorski Stefana Krzywoszewskiego. **Czwartek, 21.III,** godz. 21.15. Słuchowisko z Wilna. Zradjofonizowany fragment z „Pana Tadeusza" Mickiewicza „Hajże na Soplicę".

7 DNI TEATRÓW, TEATRZYKÓW I KIN WARSZAWSKICH

TEATR NARODOWY.
Fantazy
czyli
Nowa Dejanira
Juljusza Słowackiego.
w rolach głównych: Węgrzyn, A. Rotter-Jarmińska, J. Osterwa, L. Solski, I. Solska-Grosserowa i inni.
Reżyserja JULJUSZA OSTERWY.
Dekoracje WINCENT. DRABIKA.

TEAT NOWY.
Jerzy Szaniawski
Adwokat i róże
Komedja w 3-ch aktach
w rolach głównych A. Zelwerowicz, H. Zahorska, L. Dunin-Osmólska, H. Gromnicka, J. Warnecki, W. Biegański i inni
Reżyserja ANT. ZELWEROWICZA.

TEATR LETNI
Panienka z Dancingu
Komedja w 3-ch aktach St. Krzywoszewskiego
w rolach głównych: M. Gorczyńska, M. Chaveau, Solarski, Łuszczewski, Hnydzyński, Lenerówna, Dobrowolska Fertner i inni.
Reżyserja E. CHABERSKIEGO

TEATR POLSKI
Dwaj panowie B
komedja w 3-ch aktach
MARJANA HEMARA
w rolach głównych: M. Maszyński, B. Samborski, K. Szubert, Stanišzewski, M. Kamińska i in.
Reżyserja K. BOROWSKIEGO.
Dekoracje K. FRYCZA.

TEATR MAŁY.
Miłość bez grosza.
Komedja Stefana Kiedrzyńskiego.
W rolach głównych: Malicka, Junosza-Stępowski, Grabowski, Czaplińska, Fritche i Wesołowski.
Reżyserja STANISŁAWSKIEGO

QUI PRO QUO.
„M. S. Z."
czyli „Pamiętaj o mnie"! — J. Kowalskiego i M.
Wielka rewja aktualna Zalewskiego.
w programie:
„Romeo i Julja", Konflikt dyplomatyczny", „Na płotku, „Dziś bal", „Nola", „Pani wybiera suknie", „Greta Garbo", „Fanciulla del morte", „Nie dziś, to jutro".

Apollo: „Pieniądz" z Brigidą Helm.
Casino: „Ostrzegam" z Laurą La Plante.
Colosseum: „Ponad śnieg" p.g Żeromskiego w rolach gł. Koreywo, Jaracz i Cybulski.
Filharmonja: „W przeklętym domu" z Jane Collier oraz komedja „Romantyczne panny i praktyczne mamy".
Palace: „Pieniądz" z Brygidą Helm.
Pan i Capitol: „Adjutant" z Iwanem Mozżuchinem.

Quo Vadis i Światowid: „Żar miłości" z Gretą Garbo i Conradem Nagel.
Rococo: „Bestja morska" z Johnem Barrymor.
Splendid: „Piękna grzesznica", z Agnes Petersen i Możżuchinem.
Stylowy: „Płomień miłości" z Vilmą Banky i Ronaldem Colmanem.
Wodewil: „Słomiana wdówka" z Phyllis, Hauer, Lentrice Joy i Ray'em.

MORSKIE OKO
1000 pięknych dziewcząt
Rewja w 20 obrazach
w programie:
„Dziewczę z Wirginji", „Złota pantera", „Najpiękniejsze wachlarze świata", „Ulica rozkoszy", „Żywy tren", „Flirt o północy", Przegląd tualet karnawałowych", „Kulig na Starem Mieście".

KALENDARZYK SPORTOWY

Mecz zapaśniczy Warszawa — Gdańsk, Warszawa, 24.III.

Posiedzenie Związku dziennik. sportowych, Warszawa, 24.III.

Wielki bieg naprzełaj 10 narodów, Paryż, 24.III.

Zapaśnicze mistrzostwo Polski, Łódź, 17.III. (zaw. te będą eliminacją przed wyjazdem reprezentacji polsk. na mistrzostwo Europy w Dortmundzie, 4—7.IV).

Drużyna hokejowa A. Z. S. wyjeżdża do Londynu 23.III.

Polski Związek Szermierczy wysyła drużynę na zawody europejskie.

Druga runda rozgrywek o puhar Davisa w której bierze udział Polska odbędzie się w dn. 7—19.V. do Neapolu 8—16.IV.

Kobiece ogólnopolskie zawody strzeleckie z broni małokalibrowej odbędą się w dn. 17, 18, 19.III (strzel. indyw. z broni długiej na 50 m. i 35 m. — oraz z broni krótkiej indyw. i zespol.) W dn. 16, 17.III zawody strzel. w Warszawie dla wszystkich.

Turniej piłki koszykowej, Warszawa, 23, 24.III.

Mecz zapaśniczy Warszawa — Gdańsk, 24.III.

Konferencja piłkarska, Praga Czeska 24.III (P. Z. P. N. wysyła przedstawiciela).

Poradnia sportowo-lekarska przy Pol. Tow. Eugenicznem (N. Świat 1 m. 5) porady poniedz., czwart., sobota godz. 18.30—20.

MENU TYGODNIOWE

Niedziela
Barszczyk pomidorowy, czysty, paszteciki pączkowe. Polędwica, sos maderowy, kartofelki drażone. Salsefja osmażana. Czereśnie z konserwy w galaretce poziomkowej.

Poniedziałek
Rosół z kartoflami, sztuka mięsa, sos cebulowy, makaron z rumianem masłem.

Wtorek
Zaciereczki z fasoly i słoninką. Sznycle cielęce, pureé kartoflane, czerwona kapusta, kompot ze śliwek.

Środa
Rosolnik z drobek kurzych z kaszy perłowej. Kotlety siekane z konserwy, groszek z konserwy. Naleśniki z serem.

Czwartek
Zupa cytrynowa. Forszlak cielęcy, borówki, kartoflane krokietki. Pieczone jabłka nadziewane konfiturami.

Piątek
Czysty rosół z miętusa (Ucha). Włoska kapusta, zapiekana pod beszamelem. Budyń ryżowy z sosem waniljowym.

Sobota
Zupa pureé z jarzyn na żółtkach. Sielawki augustowskie smażone, cytryna, kapusta kiszona. Sufflet konfiturowy na białkach, mleko lub śmietanka.

CO CZYTAĆ?

Zofja Ciechanowiecka. „Credo" Kasprowicza.

Luigi Pirandello (przekład dr. Z. Szylmanówny). „Pierwsza noc".

Zygmunt Wasilewski. „Poeci i teatr".

A. Rzewuski. „Ze strzelbą na ramieniu".

Układy fotograficzne i rysunki wykonał w tym numerze L. Chejfec.



Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Zaczyna wchodzić w życie. Czem zostanie w przyszłości? Czy obierze sobie zawód? — Czy też poprostu... wyjdzie zamąż? Otoczona rojem młodych ludzi, zaczyna zastanawiać się nad wieloma dotychczas obojętnemi dla niej sprawami. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Młody człowiek pozuje na zrozpaczonego, pozbawionego celu w życiu. Hala więc postanowiła mu dopomóc. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Hala jest już dorosłą, prawdziwą kobietą! Flirt Hali z Zaliwskim — zagadkową, jakby się zdawało, osobistością — zaczyna zwracać powszechną uwagę. Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Ostrzeżenia na temat Zaliwskiego zaczynają trafiać dziewczynie do przekonania, zwłaszcza, że i jej samej nie podoba się poufałość młodego człowieka, więc postanawia poprostu zerwać i z Woyną i z Zaliwskim. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny, której rozmowy odkrywają przed skromnym podlotkiem nowe horyzonty. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat, a właściwie... w półświatek. W jednym z albumów Molińskiej znajdują ze zdziwieniem fotografje całego szeregu znajomych, a pomiędzy innemi i Reńskiego, opiekuna i przyjaciela Zaliwskiego. Halina popada w coraz głębszą rozterkę duchową, zwłaszcza, że życie otwiera przed nią cały szereg trudności i kłopotów, z któremi ludzie muszą się borykać na drodze do szczęścia. (8)

Nie zdawał się zważać na wytworną elegancję w stroju i ruchach Hali; za to wyraził żartobliwy zachwyt na widok małej Stefci; na papciu zrobił wrażenie dobre, na mamie gorsze; przywitał się i prowadził rozmowę swobodnie i spokojnie — a pożegnał się „jak postrzelony" (mówiła Stefcia); śmiał się szczerze i zaraźliwie, ale miał też nerwowe drganie gdzieś między ładnemi ustami i idealnie prostym nosem; wydało się odrazu, że Hala mu się bardzo podoba — a jednocześnie zdradzał jakby roztargnienie. Najzabawniejszą uwagę uczyniła Stefcia: — Dlaczego pan ma jeden bucik świecący, a drugi zakurzony?

— Dlatego — panno Stefciu — odrzekł Steyr z całą powagą — że ja zwykle nie chodzę, tylko skaczę na jednej nodze.

A że Stefcia nie wierzyła, więc zaraz — na tej pierwszej wizycie — pokazał jej, jak chodzi, skacząc. Przy tej okazji stłukł wazon — i zaraz na usprawiedliwienie powiedział, że zawsze coś tłucze, będąc z pierwszą wizytą. — Żeby tylko nie było na mnie — zaniepokoiła się Stefcia, doświadczona co do skutków tłuczenia wazonów. — Mamusiu — niech mamusia pamięta, że to pan a nie ja powinien dostać za ten wazon.

Ostatecznie — po wyjściu Steyra — Hala nie wiedziała — czy podoba się jej, czy nie. Jedno nie ulegało wątpliwości, że „człowiek czuje się z nim, jak ze starym znajomym".

— Ostatecznie — do pewnego stopnia — miły człowiek — mówił papcio z uznaniem, gdyż okazało się, że Steyr gra w bridge'a i winta rzadko, ale — gra.

— Możesz go córo kiedy poprosić.

— Steyr jest trochę nudny, jeśli się podobał papciowi — zaopinjowała Hala. Jednak starała się odrobinę więcej niż zwykle, żeby widział i wiedział, że oczy Hali są duże i niebieskie, a nóżki — podobno jak najzgrabniejsze. Pozatem chciało się jeszcze, żeby Steyr ocenił w niej jasny i szczery charakter i zrozumiał, że nie jest płytką, roztańczoną panienką warszawską. Gotów to pomyśleć — gdyż widział ją na balu z Zaliwskim. Steyr jednak nie wspomniał o tem i Hala była mu wdzięczną: pierwszy człowiek, który jej nie mówił o Zaliwskim.

„Okres Steyra" — jak żartował papcio, był dość krótki. Steyr przyszedł jeszcze kilka razy i Hala mogła napisać Annie, że brat jej na ogół czuje się dobrze, najwidoczniej bardzo zajęty przy organizacji fabryki motorów lotniczych i jeżeli miał jakie przejścia i niedomagania, to zostawiły one tylko ślady w wyglądzie i zachowaniu..

Sprawy miały się tak, że Steyr wyjeżdżał na czas dłuższy za granicę dla przyjmowania w fabrykach niemieckich, francuskich i szwajcarskich jakichś obrabiarek, które budowano dla polskich zakładów, w których pracował. Steyr odwiedził Halę przed swym wyjazdem jeszcze kilka razy i spotkał u Hali Jadkę, gdyż Hala przeprowadziła sprawę mieszkaniową. Otóż Steyr zostawiał mieszkanie, nie wielkie, ale miłe i z całą gotowością — na pytanie Hali, zaofiarował je na cały rok Jadzi i jej studentowi, jeśli chcą się pobrać i nie mają gdzie mieszkać. Steyr zostawiał meble, pieniędzy nie chciał, wogóle wzbudził w Hali uznanie i wdzięczność. Jadzia była w siódmem niebie omal nie ucałowała Steyra, a jej student, przyszły inżynier, poszedł dziękować Steyrowi. Potem Steyr wyjechał.

— Jakiż on jednak, przy całej pozornej wesołości — jest smutny — myślała Hala.

Smutny też był kuzynek Staś, niepostrzeżenie przychodzący do Liwskich i również niepostrzeżenie wychodzący. Tajemnicę kuzynka Stasia pierwsza przejrzała mała Stefcia.

— Staś już ciebie nie kocha — powiedziała enigmatycznie Hali — Staś zobaczył, że ty flirtujesz ze wszystkimi i teraz kocha się w kim innym —

— W kim? — Co ty wygadujesz?

— Wiem, ale nie powiem — wiem wszystko, ale nie powiem — skakała i drażniła się Stefcia i przy tej okazji ściągnęła z pianina lampę. Po zwykłem w takich wypadkach zamieszaniu, przyszła z nieobeschniętą od łez buzią do Hali i jeszcze raz powtórzyła — że wie — ale nikomu nie powie.

Hala umiejętnie wzięła Stasia na spytki, dziwiąc się, że tak szybko stała się od niego jakby starsza, choć byli jednolatkami.

— Słyszałam Stasiu, że już mnie nie kochasz — powiedziała ze smutkiem, który nie był udany, bo Hala chciała być kochana przez wszystkich. — Czy nie jestem wobec tego podobna do Aliny — pomyślała naraz.

— Bardzo cię kocham i zawsze będę kochał — odrzekł zmieszany Staś. — To nieprawda — żebym przestał — kto ci o tem powiedział?

— Wróble śpiewają na dachu! Wszyscy wiedzą — tylko mnie jednej nic nie chcesz o sobie powiedzieć.

— Bo jesteś taka odemnie daleka...

Hala pogłaskała Stasia po czuprynie i był to jej pierwszy gest macierzyński, gest opiekuńczy, pełen dobroci.

— Trochę, widzisz, wstyd mi — przyznał niewyraźnie Staś.

— No powiedz — powiedz — jak siostrze — albo matce.

Jakże to miło byłoby mieć brata i czuwać nad nim! Ale brat Adam nie żyje... — Będę siostrą dla Stasia — postanowiła Hala z radością. Jakże miło!

Ale już w parę chwil potem zrozumiała, jak ciężki i odpowiedzialny może być obowiązek czuwającej siostry i matki.

Siedzieli w półciemnym pokoju papcia na wielkich, skórzanych fotelach i Staś zaczął zwierzenia.

— Wiesz — naprawdę — zakochałem się. Zupełnie inaczej, niż w tobie, bo ciebie nie przestałem przecież kochać. Tylko to jest inne jakieś. Właśnie tego się wstydzę, że niedawno myślałem tylko o tobie, a teraz —

Teraz Staś — okazuje się — kochał i oczywiście — cierpiał.

— Bo chciałem nie pozwolić sobie — bo po co? Ale ona również mnie kocha i powiedziała mi to — więc co miałem robić? Zdawało mi się, że to zdrada wobec ciebie. Dopiero później pomyślałem, że o ciebie dbam, jak o siostrę i o tobie myślę inaczej — a tamto...

— Co było między wami — pytała Hala tonem osoby zupełnie doświadczonej.

Staś milczał chwilę.

— To, czego nie mogę zapomnieć. Całowałem ją — i ona mnie. Potem oświadczyłem się jej...

— Ty? oświadczyłeś się? Więc to narzeczeństwo?

— Widzisz, ona jakoś inaczej to traktuje — właściwie nic nie odpowiedziała..

— Stasiu! więc przyjm odemnie wszystkie życzenia! Napewno jest miła, i ładna i dobra...

— Jest strasznie ładna — oględnie potwierdził Staś.

— A nie powiesz kto?

— Nie mogę — Halu — nie mogę.

Hala zdziwiła się:

— Dlaczego Stasiu?

— Bo ona nie pozwoliła — i to wszystko jest sekret.

— Oj, dzieciuchu, dzieciuchu — mówiła Hala z czułością.

Wtem przykra myśl przyszła i zatargała sercem.

— A gdzie ją poznałeś? Może tu u nas?

Staś milczał.

Hala zrozumiała: Czarna Alina! Czarna Alina uwodzi Stasia! To ona — ona — któżby inny! Nie wytrzymałaby, żeby nie zawrócić w głowie Stasiowi — skoro tu bywała i spotykała go. Więc tak — więc tak — nie — to niemożliwe.

Wstała i chodziła szybko po pokoju. Oto są skutki jej przyjaźni z Aliną! To ona — Hala — winna! Myślała, że wolno jej samej przyjaźnić się z Aliną — komuż to szkodzi — cóż z tego, że Alina jest lekkomyślną flirciarą i plotkarą. Hala o siebie nie dbała — ale oto są skutki inne: nie dla Hali groźne, lecz dla kochanego kuzynka Stasia. Z jej usposobieniem i — temi — jej tajemnicami — do poczciwego Stasia.

— Winna jestem — sama winna — oto jakie życie jest trudne! Nie dość jest myśleć o sobie — trzeba myśleć i o najbliższych — myśleć przy każdym kroku.

O tej wielkiej prawdzie życiowej powiedziały wiele Hali zdarzenia już bliskie, które nadciągały z całą nieubłaganą logiką i konsekwencją — przypadkowych okoliczności.

Tymczasem nic nie powiedziała Stasiowi— ale postanowiła rozmówić się z Aliną. Przecież jeszcze nic strasznego się nie stało — trzeba tylko dla Stasia być lepszą i czulszą i pamiętać o nim, jak o braciszku. Przecież Staś dał już jej dowody wielkiej braterskiej opieki, choćby z powodu Zaliwskiego.

Zaliwski przyśnił się Hali tej nocy. Sen był niemądry, długi i straszny. Stało się ciemno i niemal czarno na świecie i Hala szła drogą dziwną i niebezpieczną, bo trzeba było iść po belkach, ułożonych poprzecznie. Między belkami były duże przerwy i niezgłębiona przepaść, tak, że Hala musiała uważać, żeby iść po tych belkach i nie wpaść w przerwę. W tej trudnej drodze ciągle przeszkadzał jej Zaliwski. To stawał naprzeciwko i zagradzał drogę, to brał za rękę i ciągnął na stronę albo z powrotem, coś wskazując ręką w oddali. Hala nie rozumiała, czego chciał od niej, widziała tylko krzywy uśmiech i czuła wstręt i niechęć. Ale Zaliwski począł prosić, potem płakać i wymachiwać rękami i skarżyć się i Hala szła coraz wolniej, nietyle zmęczona drogą, ile przejęta jakąś wielką rozpaczą, która powstała w jej sercu. W końcu nie wiedziała co robić i co myśleć. Wątpliwości i jakieś poplątane myśli tak zapełniły jej główkę, że poczęła boleć i szumieć od tych myśli. Hala usiadła bezradnie i długo płakała na tej przesmutnej drodze, gdy nagle zobaczyła, że jest tor kolejowy, a belki były podkładami pod szyny, które biegły w nieskończoność. Gdy wszystko znikło, Hala znalazła się u Molińskiej i grała „Suitę" Griega, a wtedy nadszedł ktoś i stanął za nią. Hala nie przerywała gry i uczuła dziwną słodycz i niemoc. Nieznajomy pochylił się i znienacka pocałował Halę w obnażoną szyję, aż Hala cała zadrżała i omdlała od tego pocałunku. A gdy i to znikło, stanął przed nią Steyr i powiedział: — Ja wiem, że to był Reński — niech pani nie zaprzecza — jestem taki smutny przez panią.

Steyr również zabawnie płakał.

I wtedy Hala — również z płaczem — uklękła i całowała długo ręce i nogi Steyra, na co wpadła Stefcia i powiedziała:

— Wiem wszystko, ale nie powiem — nie powiem — nie — po — wiem.

VI.

Zaliwski zaraz po powrocie zjawił się u Hali. Był zmieniony do niepoznania: jeszcze bledszą twarz okraszał uśmiech już nie krzywy, lecz poprostu ukośny. Nie znać też było zwykłej staranności w jego stroju, a nawet Hala dostrzegła z przerażeniem brudny kołnierzyk. Kosy uśmiech drgał i znikał naprzemian, palce nerwowo latały po poręczy ławki, oczy zapalone były nieustającym niepokojem.

Hala dostrzegła to wszystko, siedząc z Zaliwskim na ławie w poczekalni biurowej. Świeża, spokojna, opanowana, miała jeszcze w pamięci ostatnie zdania ważnego okólnika, gdy goniec biurowy zameldował jej przybycie pana Zaliwskiego. Nad biurkiem i maszynami uniosły się głowy i główki, a student Jadki pogroził Hali palcem i powiedział:

— Oj, ostrożnie panno Halineczko!

— Witam pana — powiedział Hala i naraz zdała sobie sprawę, że nie będzie mogła powiedzieć Zaliwskiemu tak, jak zamierzała — o konieczności ograniczenia stosunków do niezbyt bliskiej znajomości towarzyskiej. Coś jednak należało powiedzieć i Hali przyszło na myśl, że chyba wyzyska atut, jakim jest autorytet rodziców. Powie Zaliwskiemu (i nie kłamie przytem), że jej rodzice nie życzą sobie poufałości, przyjaźni i częstego widywania. — Jestem jednak trochę podła — myślała Hala — bo właściwie, to ja sama z nim nie chcę, a ze zdaniem rodziców nie bardzo się liczyłam — a teraz na nich wszystko zwalam.

Dlatego Hala powiedziała swe ostentacyjne i chłodne „witam pana" zamiast zwykłego „dzień dobry".

Okazało się jednak, że Zaliwski nawet nie zauważył tego.

— Słuchaj — powiedział poprostu — nie mam czasu . Zwracam się do ciebie, jak do przyjaciela! Potrzeba mi natychmiast — ale to natychmiast — trzysta dolarów — — do jutra — albo pojutrze — oddałbym. — Jestem w strasznym kłopocie — zawiódł mnie ktoś — a tu termin — prosto z pociągu pojechałem do biura — a zaraz potem tu — do ciebie.

W głosie Zaliwskiego wibrowało przerażenie.

Hala przestraszyła się.

— Co się stało?

— Nic — nic — mówił nerwowo Zaliwski — no — zwykła u nas — w interesach — niespodzianka — chwilowe braki... Reńskiego w Warszawie nie ma — wywiózł jakąś pannę zagranicę i tam z nią siedzi. — Inni też wyjechali. Tylko ciebie mam. Więc możesz? Tak czy nie?

— Ale skądże ja wezmę! — Hala omal nie rozpłakała się.

Nastało kłopotliwe milczenie.

— Może ojciec twój? — Zaliwski patrzył w nią niespokojnie i przenikliwie.

Hala opanowała się, przypomniawszy, że jest harcerką. Jeśli Zaliwski przychodzi po pieniądze do niej — dziewiętnastoletniej panny — to jest napewno w wielkim kłopocie... może na skraju przepaści. Nigdy nie mówił nic o interesach — a teraz — tak nagle.

— Dobrze — powiedziała wstając — zrobię — co będę mogła. Proszę za dwie godziny.

— Zapóźno! — jęknął Zaliwski z przestrachem, patrząc na zegarek. Hala zauważyła, że zegarek jest inny: dawniejszy złoty, z brylantem na kopercie, ustąpił skromnemu, niklowemu. Natomiast pierścienie pozostały.

— Więc — za godzinę — odrzekła Hala.

— Będę strasznie wdzięczny — wiedziałem — że na ciebie można liczyć w potrzebie— bądź za godzinę w „Polonji".

Zaliwski zabierał się do wyjścia.

— Dlaczego w „Polonji"? Jakże ja tam pójdę?

— Zrób mi to ustępstwo i przyjedź. Na minutkę, wejdziesz i wyjdziesz. Tam właśnie mam spotkać się z kimś i pieniądze oddać — i zaraz muszę tam jechać — żeby uprzedzić — żeby nie dopuścić...

Zaliwski wybiegł i Hala widziała przez okno, jak pośpiesznie wskakiwał do taksówki. Gdy stało się coś poważnego, czy można kierować się względami: wypada — czy nie wypada.

Za chwilę i Hala — zwolniwszy się z biura — pojechała do ojca. Zastała go w samolubnej ciszy dyrektorskiego gabinetu. Papcio odruchowo poczęstował Halę pudełkiem cygar, tak, jak to czynił zawsze wobec innych, licznych interesantów, poczem roześmiał się ze swej pomyłki i coś zaczął opowiadać.

— Papciu — mam pilny i ważny interes do ciebie — przerwała mu Hala.

— Cóż takiego, córo?

Hala uczuła nagle pewną trudność w wypowiedzeniu swej prośby. Na jej twarzyczkę wystąpił rumieniec.

— Papciu, potrzebuję dużo pieniędzy.

Zrobiło się jej przykro i rozpłakała się. Nie mogła sobie zdać sprawy, skąd przyszło uczucie dużej przykrości.

— Dla kogo? spytał od razu papcio.

Spuścił oczy, jakby zawstydzony, gdy Hala opowiedziała mu o nagłem wtargnięciu i żądaniu Zaliwskiego.

Papcio podniósł siwe, krzaczaste brwi.

— Czy mówił ci, żebyś się udała do mnie?

— Nie — skłamała Hala — (pierwsze kłamstwo, niewiadomo, dlaczego popełnione) nie papciu — to ja sama pomyślałam.

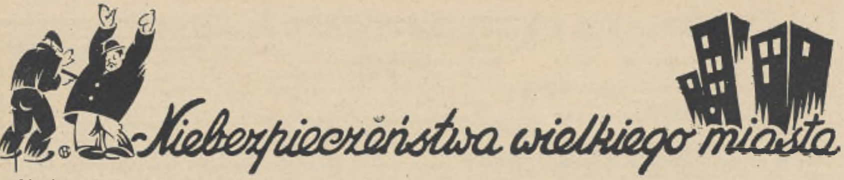
Ratując Zaliwskiego finansowo, chciała ratować go także inaczej.

— Był taki przybity i biedny, że obiecałam mu, że może znajdę dla niego te pieniądze.

— Skoro się zaofiarowałaś — to cofnąć się trudno — rzekł po chwili papcio. Hala ze zdumieniem zauważyła, że ma jakby trochę starszą twarz, starszą niż wczoraj, niż przed chwilą. Z szuflady biurka wyjrzały paczki banknotów. Papcio położył przed Halą trzy.

— Papciu — ja przepraszam — i dziękuję.

(C. d. n.).



Niebezpieczeństwa wielkiego miasta

Mieszkańca wsi lub małego miasteczka, który zaledwie raz na lat kilka odwiedza Warszawę, już w wagonie kolejowym witają urzędowe ostrzeżenia: „wystrzegać się złodziei". Dojechał szczęśliwie do dworca warszawskiego, nie mógł się doczekać tragarza, więc sam wyniósł walizkę z wagonu, postawił ją obok siebie i, nie odchodząc od niej ani na krok, rozgląda się za wolnym ludzkim mułem, aby go tą walizką obarczyć. Nagle wszystka krew uderza mu do głowy — usta otwiera, jak bramę do stodoły, oczy mu się robią okrągłe, jak dwa spodeczki: niema walizki! Pod ziemię się zapadła, czy co u licha?! Jąkając się i krztusząc z wrażenia i złości, zapytuje stojącego obok przyzwoicie wyglądającego jegomościa, który też swej walizy (tylko dużo większej) pilnuje:

— Proszę pana! Czy pan nie widział... tutaj, przed chwilą... walizka... taka bronzowa, z miedzianemi okuciami... ktoś mi ją... tego...

Zagabnięty jegomość okazuje żywe zainteresowanie.

— Taka płaska?

— Acha!

— Niema minuty, jak zabrał ją jakiś młodzieniec w szarej czapce sportowej. Skąd mogłem wiedzieć, że to nie jego? Poszedł tam, w tę stronę. Może go pan jeszcze dogoni...

Biegnie więc nasz podróżny we wskazanym kierunku, przeciska się przez zwarty tłum u wyjścia, wypatruje, szuka — aby w kilka minut później dowiedzieć się od dyżurnego przodownika w komisarjacie dworcowym, że został okradziony „na mojkę".

— Na „mojkę"?...

— Tak. Okradł pana ten przyzwoicie wyglądający jegomość, który panu podał rysopis rzekomego złodzieja. A walizka pańska stała u jego stóp.

— Niemożliwe! Jego walizka była większa...

— Właśnie dlatego. Niósł w ręku specjalną walizę bez dna. Korzystając z jednej drobnej chwili pańskiej nieuwagi, nakrył nią pańską walizę, poczem nacisnął specjalną sprężynę, dzięki czemu zamknęły się u spodu specjalne zatrzaski i waliza pańska znalazła się w swym nieproszonym pokrowcu, jak w pudełku. Skierował pana na fałszywy ślad, poczem najspokojniej ulotnił się przez inne wyjście...

Złodzieje dworcowi to gracze nielada.

Zdarza się, że wysyłają swych wspólników w podróż koleją, aby zasięgnąć języka. Nigdzie człowiek nie jest tak skłonny do zawierania znajomości i do zwierzeń, jak w wagonie. Pasażerowie jednego przedziału, to jakby mała rodzina. Ciągnie więc „wywiadowca" złodziejski za język swe przyszłe ofiary, strasząc je zazwyczaj opowiadaniami o pułapkach, jakie na nie czyhają w stolicy. Niejeden nie wytrzyma i pochwali się, że kradzieży się nie boi, bo gotówkę — taką a taką — schował w tem a w tem miejscu...

Kilka lat temu jakaś poczciwa kobiecina zwierzyła się swej przygodnej towarzyszce podróży, że wiezie ze sobą kilkaset dolarów, zaszytych w ...pantalonach pod spódnicą. Gdy wysiadała z wagonu na dworcu w Warszawie, wytworzono dookoła niej sztuczny tłok, podczas którego „zoperowano" ją tak zgrabnie, że stratę swą zauważyła dopiero w hotelu...

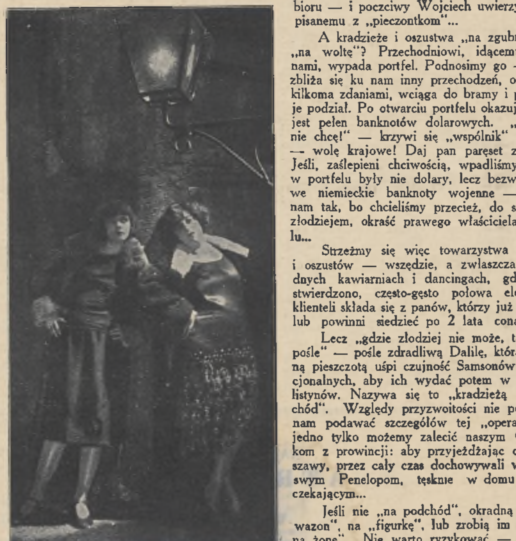
Jeśli podróżny nasz jest oszczędny, wsiada nie do samochodu, lecz do demokratycznego tramwaju. Tu grozi mu — i to poważnie — kradzież „ze świecą", zwłaszcza, jeśli ręce ma zajęte walizką lub innemi pakunkami.

W porze letniej rolę „świecy" odgrywa płaszcz, zarzucony na lewe ramię — pod tym płaszczem, jak za parawanem, operuje złodziej prawą ręką, wyciągając swej ofierze portfel z kieszeni. Wspólnicy jego robią tymczasem sztuczny tłok, trącając operowanego to w tę, to w inną część ciała, aby rozproszyć jego uwagę i zmniejszyć wrażliwość. W zimie „świecą" jest teczka lub gazeta, którą złodziej czyta przed nosem swej ofiary.

Zazwyczaj „świeca" idzie w parze z „kosą", t. j. ze zwykłem ostrzem od maszynki do golenia. „Kosynier" jednym szybkim ruchem przecina sukno ubrania tuż pod samym portfelem — wspólnicy jego potrącają okradzionego, portfel zaś własnym swym ciężarem pada na podłogę tramwaju aby za chwilę, podawany z rąk do rąk, zmienić właściciela...

W lokalach publicznych, jak cukiernie lub restauracje, które nie posiadają garderoby, grozi gościowi kradzież „na szpryng" — to znaczy kradzież futra, płaszcza lub czapki futrzanej. Ogół złodziejski gardzi jednak taką „robotą" i przedrwiwa „szpryngowca", mówiąc o nim lekceważąco, a ironicznie:

— „He! to złodziej — drewniak, co na szpryng z drewnianym szabrem po złoto do śmietnika chodził"...



Pewien stary „szpryngowiec" częsty bywalec naszych komisarjatów P. P., specjalista od czapek futrzanych, jest jednocześnie wybornym psychologiem. Wchodząc do lokalu, nie patrzy gdzie i co wisi lub leży — lecz bada twarze. Jeśli dostrzeże twarz gapiowatą — dobierze sobie do niej karakuły lub foki, w przeciwnym razie wychodzi, aby spróbować szczęścia gdzieindziej...

Wszyscy — i nasz przybysz z prowincji — naczytaliśmy się o oszustwach z fałszywemi brylantami. Zdawałoby się, że każda próba tego oszustwa winna zaprowadzić „brylanciarza" do ula. Lecz naiwnych nie sieją — sami się rodzą. Dużą rolę odgrywa też przytem chciwość ludzka i przynęta t. zw. „okazji", na czem robi dobre interesy nietylko „brylanciarz", ale i każdy sprytny kupiec-detalista... A jak tu nie ulec pokusie, skoro ma się brylant w ręku i skoro pierwszorzędny jubiler, przez nas samych wybrany, poda nam jego wartość kilkakrotnie wyższą, niż cena żądana? Więc płacimy zań pareset złotych — nie dostrzegając, że „brylanciarz" — prestidigitator zastąpił jedno pudełeczko innem, na dnie którego spoczywa czeskie szkiełko wartości kilku groszy...

Wogóle ostrożnie z okazjami! Niedawno pewien kmiotek za pięćdziesiąt złotych kupił w Warszawie... kolumnę Króla Zygmunta! Oszust wydał mu kwitek, upoważniający do odbioru — i poczciwy Wojciech uwierzył słowu pisanemu z „pieczontkom"...

A kradzieże i oszustwa „na zgubne", lub „na woltę"? Przechodniowi, idącemu przed nami, wypada portfel. Podnosimy go — nagle zbliża się ku nam inny przechodzeń, oszałamia kilkoma zdaniami, wciąga do bramy i proponuje podział. Po otwarciu portfelu okazuje się, że jest pełen banknotów dolarowych. „Dolary? nie chcę!" — krzywi się „wspólnik" znalazcy — wolę krajowe! Daj pan pareset złotych!" Jeśli, zaślepieni chciwością, wpadliśmy — bo w portfelu były nie dolary, lecz bezwartościowe niemieckie banknoty wojenne — dobrze nam tak, bo chcieliśmy przecież, do spółki ze złodziejem, okraść prawego właściciela portfelu...

Strzeżmy się więc towarzystwa złodziei i oszustów — wszędzie, a zwłaszcza w modnych kawiarniach i dancingach, gdzie, jak stwierdzono, często-gęsto połowa eleganckiej klienteli składa się z panów, którzy już siedzieli, lub powinni siedzieć po 2 lata conajmniej...

Lecz „gdzie złodziej nie może, tam babę pośle" — pośle zdradliwą Dalilę, która kłamaną pieszczotą uśpi czujność Samsonów prowincjonalnych, aby ich wydać potem w ręce Filistynów. Nazywa się to „kradzieżą na podchód". Względy przyzwoitości nie pozwalają nam podawać szczegółów tej „operacji" — jedno tylko możemy zalecić naszym Czytelnikom z prowincji: aby przyjeżdżając do Warszawy, przez cały czas dochowywali wierności swym Penelopom, tęsknie w domu na nich czekającym...

Jeśli nie „na podchód", okradną ich „na wazon", na „figurkę", lub zrobią im „szantaż na żonę"... Nie warto ryzykować — doprawdy nie warto...

Mi-mo.

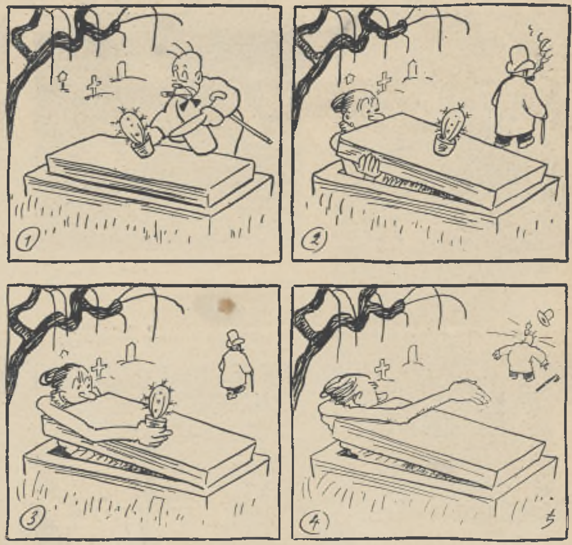
Humor



POCZCIWY GRUBAS.

— Czego twój braciszek płacze? Może ci w czem dopomóc?

— Proszę pana, jeżeli pan łaskaw, to niech pan wlezie na drzewo i ściągnie balonik — bo nam się urwał.



Zagrobowe porachunki małżeńskie.

INFORMACJE DZIAŁU „ROZRYWEK UMYSŁOWYCH"

P. Jerzy Szpakowski w/m. Decydowała data nadejścia listu. Ilość duali nie grała roli. *P. S. Czerniakow* z Radomia i p. Kazimierz Nowak w/m. Pomyślimy i o konkursie na rozwiązanie zadań szachowych. *P. Henryk Krysko* w/m. Tak. *T. P. Kęty.* Gratis. *P. Danusia B.* Bardzo ładnie. *P. Czesław K.* Siedm czy siedem? *P. por. Cez. Pob. Pąg.* Pomysł II-ej zagadki doskonały, ale opracowanie słabe. I-ej nie zamieścimy. *P. Marjan Warsz.* Bilety są niezłe. Honorarjum nie wyznaczamy. *P. Halce z W.* Metamorfozę „Norma" ułożył wcześniej od pani słynny „Coturnix", który jest autorem większej ilości metamorfoz 5-literowych, niż wszyscy inni razem wzięci. Układa on wyłącznie dla naszego działu Pozostałe metamorfozy są niezłe z wyjątkiem „Kurtz"(?). *P. St. Rawicz.* Przejrzymy później. *P. Jerzy Gryglaszewski.* Jeden z biletów b. dobry. *Pp. H. Löw, W. Skrzyński, Miecz. Pietrasz, Hipolit Lisowski, Al. Sztycer.* Nie zamieścimy. *P. Henryk Wajntreter* w Łodzi. Klasyczna metamorfoza zawiera rzeczowniki w I-ym przypadku l. pojed. a w każdym razie nie można przechodzić na liczbę mnogą tego samego słowa np. klatka, klatki.



Gubernator amerykański Smith, jeden z czołowych przywódców partji demokratycznej, tak groteskowo wygląda podczas jednego ze swych nader licznych przemówień wiecowych. Podobno jednak posiada licznych zwolenników, którzy słuchając jego interesujących przemówień, zapominają o oczach i zmieniają się w uszy...

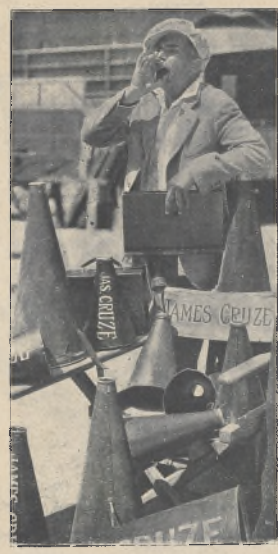


(Fot. „Wipro").
14-letni Demostenes amerykański, Morris Spector, wygłasza na wiecu w Nowym Yorku płomienną mowę przeciw apostołom bolszewizmu.

ZAWODOWY GADUŁA W TRUMNIE



Grabarz: — Panie ministrze, bo zamykamy!



Reżyser wielkiej amerykańskiej wytwórni „Paramount", James Cruze, ma pracę nielada, kierując tłumami statystów. Zaopatruje się też podczas prób i nakręcania obrazów w szereg megafonów o różnych zasięgach głosu, dzięki czemu oszczędza sobie gardło, choć czasem nie wytrzyma i huknie bez tego przyrządu parę soczystych słów pod adresem jakiegoś niedołęgi...



Przemówienie komisarza „Armji Zbawienia", Higginsa.



Coolidge, b. „Milczący Prezydent" Ameryki, przemawia... uśmiechem.

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Mokotowska 26. Telefon Nr. 525-85. Konto P.K.O. 19.447.
Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za 1/2 strony, zł. 250 za 1/4 strony, zł. 125 za 1/8 strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne: za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 20.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-98.